

Kammena

LUBLIN 4 II 1979 NR 3 (671)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Pacjent - osoba czy obiekt?

Włodzimierz Piątkowski

GDY czyta się uważnie dział ogłoszeń zachodnioeuropejskich gazet, zwracają uwagę liczne anonse informujące o różnego typu usługach medycznych. Nie było by w tym nic dziwnego, gdyby nie ich zaskakująca treść Divine Light Mission Medical Center reklamuje 14-to dniową terapię opartą na leczeniu mózgiem Sight Lighthouse proponuje nieuleczalnie chorującym cykl 24 spotkań, podczas których z pomocą terapeuty odbędzie podróż poza swoje ciało (out of the body) — da im to gwarancję godnej i spokojnej śmierci. Nawet ambasada nepalska zamieszcza ogłoszenie o nieodpłatnie organizowanym dla „wszystkich cierpiących” kursie naturalnej medycyny tybetańskiej. W krajach zachodnich działają oficjalnie liczni „healerzy” — uzdrowiciele dynamicznie rozwija się afektonalia, homeopatia i ziołolecznictwo. Wzrost zapotrzebowania na niekonwencjonalne metody leczenia jest faktem godnym odnotowania zwłaszcza że zainteresowanie medycyną alternatywną przetrwało próbie czasu. Co więcej, wydaje się, że zjawiska te, początkowo przytaczane jako dowód rosnącej na zachodzie fali okultyzmu, irracjonalizmu czy zwykłej ciemnoty są obecnie traktowane z coraz większą uwagą przez przedstawicieli klasycznej medycyny. Liczni obserwatorzy wysławiają się o tym.

Dokończenie na str. 4—5

Paweł Gembał

TYLKO CISZA ZDA SIĘ BYĆ PEŁNA UCIECZEK

Przyjaciolom z Nyékládházi

Wieczorem miastem zawiadnął mrok
Wszystko znajduje się w jego oślepłym brzuchu
Od czasu do czasu światło przejeżdżających
Samochodów przebojem wciska się na ściany
I sutfi sypialni ulatują w przestworza
Cienie wyrastają jak orzednotopowe potwory
W każdej chwili gotowe skoczyć na kark
Blade palce moich rąk uchwycone strużką światła
Polyskują wtedy jak rozwarłe ostrza myśliwskiego noża
Tylko cisza zda się być pełna ucieczek

W NUMERZE:

ŹRÓDŁA

CZTERY KOLUMNY

MŁODOLITERACKIE

POŚWIĘCONE

LITERATURZE WĘGIERSKIEJ

SPRAWY NIE TYLKO HISTORYKÓW



TEN WIELKI KSIĄŻĘ JOZEF

Leon Antoni Sulek

W TRZYDNIOWEJ „bitwie narodów” pod Lipskiem w dniu 19 października 1813 roku zginął marszałek Francji, główny dowódca wojsk polskich, minister wojny Księstwa Warszawskiego, książę Józef Poniatowski. Przez obcych dyplomatów i polityków polskich sprzyjających zabiorcom skłaniany do zdrady ten bratanek ostatniego króla polskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego pozostał do końca wierny Napoleonowi oraz idei odbudowy wolnej i niezależnej Polski. Pozostał również wierny polskiej myśli postępowej. Już 3 maja 1791 roku pod osłoną podległej mu piechoty gwardii koronnej i przy

Dokończenie na str. 4—5

ZMAGANIA

ZAPISKI PREZYDENTA LUBLINA

W poprzednim numerze naszego pisma staraliśmy się przedstawić reakcje społeczeństwa i zespołów pracowniczych na groźny atak zimy. Teraz już na spokojnie, niejako w charakterze dokumentu aczkolwiek, gdy oddajemy tekst do druku zima znów dała znać o sobie próbujemy odtworzyć atmosferę jaką panowała w sztabie ponad trzydziestoletniego miasta — w Urzędzie Miejskim u prezydenta Lublina inż. Leona Zielińskiego.

Za jego zgodą korzystamy z kalendarza z tamtych dni. Na naszą prośbę prezydent Zieliński każdy pospiesznie zapis uzupełnia z pamięci. Slegamy do raportów służb i notatek leżą sekretarza Zbigniewa Rafiewskiego. Obraz dopełniają dane utrwalone w Stańce Hydrologiczno-Meteorologicznej w Radawcu z dyżurów meteorologów Anny i Czesławy Gwiazdów, Jerzego Jaroszewskiego, Zbigniewa Mańkowskiego i Anny Wójelek. A zatem:

CZWARTEK, 28 grudnia 1978 roku
Temperatura minimalna $-0,4^{\circ}\text{C}$, maksymalna $+3,2^{\circ}\text{C}$.

W Urzędzie Miejskim normalny dzień pracy.

PIĄTEK, 29 grudnia. Rano temperatura $+5,6^{\circ}\text{C}$. Pada deszcz. Ciepło.

Zwyczajne zajęcia. Przedostatni dzień roboczy w starym roku. Urzędnicy nadają końcowy bieg wielu sprawom, nastój przedylwestrowy.

Godz. 14.30. Temperatura gwałtownie spada a wraz z nią marznący deszcz. Drzewa i krzewy nagle w zimowej szacie, wszędzie oszronienie. U prezydenta: nakaz, aby w gospodarce komunalnej i oczyszczaniu miasta przestrzeżone były pełne dyżury.

Godz. 16.00 Temp $-2,6^{\circ}\text{C}$. Deszcz lodowy, a następnie śnieżyca 4nleg Z

Dokończenie na str. 6



Fot. J. Mirosław

z notatnika

25 I. W pierwszym tegorocznym numerze „Twórczości” Anna Kamińska zamieściła bardzo ciepły artykuł na temat 45-lecia „Kamenu” i wydawnictwa z tej okazji „numeru z numerów”. Ale pewne rzeczy muszę sprostować. Kamińska pisze: „Po sześciu krwawych latach okupacji („Kamena”) została przez KAJA wznowiona i prowadzona aż do jego śmierci. Pamiętam KAJA z okresu już powojennego. Był mało mówny, spokojny, ojcowski. Po ojcu schede redakcyjną objął syn, także poeta.” KAJ „Kamena” kierował do lat sześćdziesiątych, później redaktorem naczelnym została Maria Bechcysz-Rudnicka, która z kolei przekazała mi pismo w styczniu 1965 roku. O wielkich zasługach p. Marii dla pisma wspominać nie można. Za kilka dni, 2 lutego, ukończyła ona dziewięćdziesiąty pierwszy rok życia, w następnym numerze „Kamenu” czytelnicy znajdą jej kolejną recenzję teatralną — tym razem z „Operetki” Gombrowicza. Szczegółowo podziwiam p. Marię, jej wieczną energię, jej pióro, ciekawość świata i zainteresowanie... UFO! Ile lat miała p. Maria, kiedy pierwszy raz wsiadła do samolotu? Bodaj 88...

Drugie sprostowanie dotyczy mnie. Nie jestem poetą. Pisywałam kiedyś wiersze, ale kto z nas nie pisywał...

Znacznie więcej sprostowań wymagałby jednak artykuł Matyldy Welny pt. „Okolice literatury”, który przeczytałem w „Tygodniku Kulturalnym”. Owszem, Lublin ma dzisiaj dość liczne środowisko pisarskie, ale nie wpadajmy aż w taką euforię! Po tej lekturze można się zdziwić, że nikogo jeszcze nie uhonorowano nagrodą Nobla! Welna poświęciła też kilka słów „Kamenu”. Cytuję: „Podobno „Kamena” za przyczyną dopuszczonych na swe łamy literatów stanęła bardziej literacka, do czego zobowiązuje ją tradycja.” Co to znaczy „dopuszczonych na swe łamy literatów”? Od początku swego istnienia „Kamena” publikuje prace literackie, a wierszy w sumie więcej niż tygodnik o nazwie „Literatura”. Ale „Kamena” jest przede wszystkim pismem społeczno-kulturalnym i samą literaturą żyć nie może, czytelnicy bowiem nie tylko czekają na poezję i opowiadania.

Pewien fragment artykułu Welny zdziwił mnie szczególnie. Postuluję: „Znam jedenastoletnią dziewczynkę, która po odwiedzeniu wraz ze swoją klasą Muzeum Czechowicza, pół dnia opowiadała mi o jego życiu, przepisała samorzutnie na maszynie 200 stron wierszy z różnych dostępnych jej książek, zaczęła przepisywać 350-stronicową powieść. Czy to źle? Przecież to o wiele korzystniejsze niż pite rekordowo — po siedem butelek (dziewczyna) za jednym posiedzeniem — piwo, niż narkotyk seksu.” Gdyby tak na wszystkie jedenastoletnie dziewczyny oddziaływało Muzeum Czechowicza, należałoby je pospiesznie zamknąć! Oczywiście można przepisywać 350-stronicową powieść, ale chyba tylko po to, aby nauczyć się stuknąć na maszynie. Jedenastoletnia dziewczyna lepiej by jednak zrobiła, gdyby czytała dobre książki i normalnie się uczyła. A na „narkotyk seksu” i tak ma lepsze czas. Redaktor naczelny „Tygodnika Kulturalnego”, St. Adamczyk, chyba podzielił mój pogląd w tej konkretnej sprawie.

26 I. Przyznaję się ze skruchą: dotąd nie czytywałem kwartalnika „Z pola walki” omawiającego dzieje ruchu robotniczego. Teraz wpadł mi w ręce numer czwarty, poświęcony 60-leciu KPP i 30-leciu PZPR. Znakomite teksty! Niezwykle interesujący stenoogram z dyskusji zorganizowanej przez redakcję na temat zasięgu wpływów KPP w II Rzeczpospolitej. Nawet nie podejmuję się jej streszczać, to trzeba koniecznie przeczytać.

Wydawnictwo Lubelskie przysłało do redakcji dwie książki: „Współczesne doktryny polityczne” Romana Tokarczyka i „Z przeszłości kulturalnej Lubelszczyzny” w opracowaniu: Aliny Aleksandrowicz, Reginy Gerleckiej, Wiesława Śladkowskiego i Stanisława Tworka (który już tej publikacji nie doczekał...)

Roman Tokarczyk, docent dr hab., pracownik naukowy UMCS, absolwent prawa teże uczelni, przygotował książkę potrzebną, która wypełnia lukę na rynku wydawniczym. J. Justyński słusznie zauważył na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego”: „R. Tokarczyk podjął bezprecedensową na gruncie naszego piśmiennictwa próbę

prezentacji najważniejszych współczesnych doktryn politycznych.”

Sądzę, że 10 tysięcy egzemplarzy szybko zniknie z księgarń.

W drugiej ze wspomnianych książek w indeksie nazwisk znalazłem imię i nazwisko: Kazimierz Jaworski. Otworzyłem 172 stronę i przeczytałem: „Większy już talent poetycki wykazał Kazimierz Jaworski, który w roku 1821 wydał w Lublinie swój zbiór wierszy. Był on także autorem utworu scenicznego pt. „Annibal czyli miłość ojczyzny” — poświęconego „cieniowi księcia Józefa Poniatowskiego”. Proszę — nie wiedziałem, że w ubiegłym wieku działał w Lublinie imiennik mego ojca, też poeta. Nic więc dziwnego, że ojciec używał dwójga imion... Na razie tyle na ten temat. Jestem w trakcie lektury, po której dużo sobie obiecuje.

27 I. W klubie stowarzyszeń twórczych „Nora” spotkanie kierownictwa — wydawnictwa i redakcji z drukarzami. W „Norze” bywam teraz bardzo rzadko (ostatni raz przed trzema-czterema miesiącami), po prostu nie odpowiada mi obecna atmosfera. Gdzie te czasy, kiedy klubem władał Jacek Abramowicz, który co bardziej zmęczony potrafił uczynnie odprowadzić do taksówki, Jacek, który umiał stworzyć tu tak sympatyczny, bezpośredni klimat... Z bufetu dawno też odeszła miła pani Krysią, z którą polowa bywalców była po imieniu i która potrzebującym umiała nawet (rzadkość w dzisiejszych czasach!) udzielić kredytu. Prawda — w szatni sprawują rządzą państwo Boguccy, urokliwi ludzie, może zresztą tym bardziej odczuwa się... kontrasty.

Ale do rzeczy. Spotkanie, o którym piszę, ma charakter towarzyski. Patrząc na drukarzy, wiele nowych, młodych twarzy; stara gwardia, ludzie, z którymi współpracowałem w pierwszych latach dziennikarskich, już przeważnie na emeryturze. Wśród obecnych nie ma Chęcia, Wilkosa, Ziolkowskiego, Rosiaka, Mokrzanowskiego i tylu, tylu innych...

Dyrektor wydawnictwa, redaktorzy naczelni wypowiadają kilka niezadowolonych słów, ja przypominam wiersz ojca „Pochwała pracy drukarskiej”. Sądzę, że warto ten utwór powstały przed ćwierćwieczem przytoczyć w całości:

„Poeto, czas pochwalić geniusz
Gutenberga;
on, cień, twej pracy wierny jest
towarzysz,
i kiedy słowa ciężko ważysz,
i kiedyś wszystko w całości zebrał.

Poeto, czas pochwalić bratni trud
zecera:
on twojej pracy zawsze towarzyszy.
Gdy ty skupiony w ciszy
kreślił i lepszych słów dobierał,
on da ci milion ust,
on da ci milion oczu,
on da ci milion uszu.

On twe marzenia gra na linotypie
albo wyciąga z kaszt
nie czcionki, lecz tysiące gwiazd,
co na firmament matryce się wysypia,
by później słów tych konstelacje
szły błyskawicznie przez rotację.

Pochwal więc pracę odlewacza,
pochwal więc pracę maszynisty —
cóż twoje wiersze bez nich znaczą?
— bez adresatów listy.

Ci bezimienni towarzysze
w świat ślą twe sny i anatemy,
to oni wiersze twoje piszą
i bez nich byłbyś niemy.”

Drogiej Pani Marii
Bechcysz-Rudnickiej
najszerzej
życzenia z okazji
91-lecia urodzin
składają
koleżanki i koledzy
z „Kamenu”, ZLP
i Lubelskiego
Wydawnictwa
Prasowego

I to jest szczerą prawdą. I prawdą jest też, że chciałoby się, aby nasze dzienniki, aby „Kamena” docierały do czytelników w jak najlepszej szacie graficznej, aby druk nie był szary, aby poszczególne wiersze nie „siadały”. A z tym to już bywa różnie... Jerzy Wilmański z łódzkiego Polskiego Radia przysłał do naszej redakcji list, który głosi m. in.: „Dlaczego świąteczny grudniowy numer „Kamenu” był taki bledy? I co to za zielen? Czy ta „Kamena” leżała na słońcu? Nasze łódzkie „Odgłosy” też się drukuje na rotacji, a różnica jest kolosalna. Niestety, nie na korzyść Waszego pisma...” Bijemy się w piersi, choć nie my rządząmy drukarnią, ale dyrektor Malinek interweniował i widzimy, że w dwóch tegorocznych numerach druk jest bardziej staranny.

W tych dniach w Lubelskich Zakładach Graficznych ma się odbyć konferencja samorządu robotniczego. Chętnie posłucham dyskusji. Nigdy nie ma tak dobrze, aby nie mogło być już lepiej. Prawda, dyrektorze?

28 I. W telewizji kolejny odcinek serialu „Ślad na ziemi” — „Rzeźba z betonu”. Jakże atrakcyjnie można przedstawić temat pracy! Reżyser obsadza pierwszoplanowe role mniej znanymi aktorami, których twarze nam się nie „opatrzyły” i osiąga znakomite rezultaty. Znowu, po niezbyt udanym Bognarze, mamy serial, na który się czeka, o którym mówi się powszechnie...

W „Polityce” przeczytałem taką notkę: OSTRY ATAK UFO. Latający obiekt nad Krakowem był kulą, o dość dużej wielkości kątowej, pomarańczowo-czerwonym świetle, przez 2—10 minut (zależnie od relacji) tkwił nieruchomo na niebie, a potem nagle zniknął. Zakopiańskie UFO sfotografowali funkcjonariusze milicji. UFO wykazało poczucie hierarchii (najpierw był Kraków), a milicja czułość.

Czekam, kiedy UFO odwiedzi Lublin. Na razie jeden z czytelników nadesłał nam artykuł, w którym wysuwa tezę, że UFO wychodzi z morza. Zastanawiamy się, ale może ten tekst wydrukujemy. Ścierają się różne poglądy. Dawno w zespole nie było tak zażartej dyskusji!

MAJ

Konkurs literacki

Koło Młodych Pisarzy przy Lubelskim Oddziale ZLP współpracując z Zarządem Wojewódzkim SZSP i z Wojewódzkim Domem Kultury w Lublinie ogłasza III Konkurs Literacki o nagrodę Lubelskiego Koła pod hasłem „ŻYCIE, PRACA, TWÓRCZOŚĆ W 35-leciu PRL”.

Celem konkursu jest uzyskanie utworów literackich o dużych wartościach artystycznych dotyczących działalności i uczestnictwa w życiu społeczno-politycznym i kulturalnym Polski Ludowej.

Organizatorem szczególnie należy na utworach podejmujących problemy rozwoju i kształtowania się postaw, poglądów oraz osobowości najmłodszego pokolenia różnych środowisk w 35-leciu PRL. Szczególnie premiowane będą prace, w których podjęte zostaną próby dotarcia do istoty dokonujących się współcześnie przemian.

W konkursie mogą brać udział wszyscy mieszkańcy województwa: białkopodlaskiego, chełmskiego, lubelskiego i zamojskiego (dopuszcza się do udziału członków ZLP), którzy nadesłać pod adresem ZLP w Lublinie (20-018), ul. Graniczna 9) zestaw nie nagradzanych i nie publikowanych wierszy (3—5 utworów) bądź poematu, opowiadanie (nie ograniczając się do objętości) w terminie do 15 kwietnia 1979 roku.

Do prac w trzech egzemplarzach maszynopisu opatrzonego godłem należy dołączyć zaklejona kopertę opatrzoną tym samym godłem zawierającą informację o autorze.

Dla najlepszych prac przewidziano następujące nagrody (osobno w dziale poezji i prozy):

I nagroda w wysokości 4 tys. złotych, dwie drugie nagrody po 2,5 tys. złotych, trzy trzecie nagrody po 1,5 tys. złotych oraz cztery wyróżnienia po 1 tys. złotych.

Oceny dokona jury składające się z wybitnych pisarzy i krytyków. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w maju br.

SZPALTA O SPORCIE

(wyjątkowo w czterech)

KOSZYKARZE Startu zakończyli pierwszą rundę rozgrywek i zajmują czwarte miejsce w tabeli ligowej. Utrzymanie tej pozycji pozwoli im na awans do grupy finałowej, która walczyć będzie o miejsce medalowe mistrzostw kraju. Stało się to po wygraniu dwu z trzech spotkań wyjazdowych z zespołami czołówki krajowej. A głównym autorem tych zwycięstw był nowo pozyskany gracz Startu... Ken Washington, czarnoskóry Amerykanin. Skąd taki świętynabytek? Otóż przed dwoma laty grała w Lublinie amerykańska drużyna uniwersytecka Southamp-

ton College, a w jej składzie Ken Washington, który bardzo podobał się lubelskiej publiczności. Musiała się i jemu spodobać lubelska publiczność, bo już wtedy mówił, że chętnie grałby w Startcie. Nie pozwałały mu na to jednak studia.

Teraz, po ich zakończeniu, nawiązał kontakt ze Startem i po załatwieniu wszystkich formalności przyjechał do Polski, a centralne władze sportowe zgodziły się na jego grę w tej wysokości notowanej w kraju drużynie. I zaczął grać, a gra tak, że jest na co popatrzeć. Sprawozdawca „Zycia Warszawy” w relacji z meczu Legia — Start, wygranego przez Start dwoma punktami, tak o nim pisze: *Bardzo dobrze prowadził akcje Startu, celnie strzelał z półdystansu, pokazał też warszawskiej publiczności kilka sztuczek technicznych, za co zebrał wiele braw.* Kibice lubelscy jeszcze nie mieli okazji obejrzeć jego gry na swoim parkiecie, ale w drugiej kolejce rozgrywek

będzie zapewne bardzo trudno o bilety na spotkanie Startu w hali WOSiR.

Ten stosunkowo jak na koszykarza niski zawodnik (176 cm) w meczu z Legią zdobył 35 punktów, tj. więcej niż jedną trzecią wszystkich strzelonych koszy przez koszykarzy Startu.

Kibice lubelscy mają dużą satysfakcję, że ich drużyna wygrywa, że o jej zawodniku piszą wszystkie gazety sportowe, że fragment meczu Startu z Legią pokazano w telewizji.

Ale co dalej? Ken Washington nie będzie zapewne w Startcie zbyt długo, dlatego też jego umiejętności i technikę trzeba wykorzystać nie tylko dla poprawienia miejsca Startu w tabeli.

Jego koledzy z drużyny grają i trenując z nim na pewno nauczą się wiele i to pierwszy bardzo ważny moment dla Startu na przyszłość. Drugim, chyba jeszcze ważniejszym, jest budowa szerokiego

zaplecza juniorów, którzy obserwując sposób gry i treningu tego ulentowanego zawodnika, będą się od niego uczyć, a potem zasilać szeregi pierwszej drużyny. Bo o poziomie drużyny decydują nie tylko wielkie indywidualności, lecz także — a nawet przede wszystkim — tzw. długość ławki rezerwowych.

A możliwości ku temu są w Lublinie znaczne. Wystarczy przeczytać sprawozdanie z pierwszej z brzegu sobotnio-niedzielnej kolejki spotkań koszykarskich, by w różnych drużynach kraju znaleźć nazwiska znane z poprzednich lat gry w Startcie czy Lubliniance.

Wychowywać graczy lubelscy działacze umieją, trudniej jest z ich utrzymaniem. Jeśli jednak dobrze wykorzystają oni atrakcyjność koszykówki, jaką spotęgował Ken Washington, może wyrosnąć u nas dużo dobrych graczy i dla drużyn lubelskich i dla kadry narodowej, która też na nich czeka.

tgw.

Do bazy w Suezie wracają żołnierze późnym popołudniem. Wzmocniona obiadokolacja. A potem jest sporo czasu dla siebie. I dla wszystkich wspólnie, bo tutaj liczy się wspólnota, dobra koleżeńska „paka”. Kąpią się w morzu, słuchają nagrań z taśm, czasem idą do miasta, czytają gazety, piszą listy, a wieczorem, kto ma ochotę — ogląda film, a filmy prawie codziennie w ogródku pod palmami wyświetlają Suwicki albo Gładysiewicz. O 22.00 czuwa tylko służba, reszta kładzie się spać. Poczta z kraju, na którą czeka się z utęsknieniem prawdziwym, przychodzi do nich we wtorki, piątki i niedziele. Gazety razem z listami. Jest jeszcze radio. O 23.00, kiedy Warszawa i słychać najlepiej. Gładysiewicz nagrywa wiadomości na taśmę i odtwarza entopakom przy śniadaniu. Łącznie z wiadomościami sportowymi, bo kibiców tu nie brakuje. I wtedy, w zależności kto komu kibicuje, jedni się cieszą, że „Legia” wygrała ze „Śląskiem” 1:0, a „Resovia” wkopala warszawskiej „Polonii” 2:1, inni narzekają. Tylko szef kompanii sierż. sztab. Romuald Kuryłek, ogłasza w tym przypadku neutralność bo on, były zawodnik, a obecnie działacz i trener, wierny jest „Lubliniance” i tylko ona go obchodzi. Szefa poznałem jako jednego z pierwszych z sueskiej kompanii, kilka miesięcy temu, w Abu Zenimie, dokąd przyjechał przejmować gospodarstwo od swego poprzednika z dziewięćdziesiątą zmianą. Wybieramy się do Abu Zenimy z porucznikiem Szczygłowskiem jutro rano, zobaczymy jak tam Kuryłek zadbał o chłopców.

ABU ZENIMA

WYBIERALISMY się rano, a pojechaliśmy dopiero wieczorem. Nawalila przeprawa przez kanał Z Suezu na Synaj i z powrotem funkcjonuje komunikacja przy pomocy mostu pontonowego, który zestawiany jest... No właśnie. Tego dokładnie nikt nie jest w stanie określić. Nawet wszechmocny Allah, którego Arabowie wzywają i na którego wolę powołują się przy każdej okazji.

Abstrahując od stanu wojennego, zapewne jedną z ważniejszych przyczyn niestabilności sueskiej przeprawy jest niezwykle cęty ruch statków po kanale. Sam naliczyłem na redzie około 50 jednostek, które od strony Morza Czerwonego czekały kolejki na wejście do kanału. A przejście każdego statku przez kanał to cenne dewizy dla egipskiego banku. Poprzedniego dnia wieczorem d-ca plutonu, ppor. Andrzej Kocemba zabrał sierż. Stanisława Piątka na starze, st. szer. Marka Senkowskiego na gaziku i pojechał z nimi na przeprawę. Mieli wozy przeprawić, postawić na Tangerze i wrócić na noc do bazy. Nie wrócili. Czekali, bo czekali wszyscy i Finowie i Indonezyjczycy i Ghańczycy, i cała kolumna samochodów egipskich. Przeprawa miała być uruchomiona lada moment. Tymczasem minęła noc, przyszedł ranek. Most postawiono dopiero w południe. Nie pierwszy i nie ostatni raz zapewne nocowali nasi żołnierze w swoich samochodach oczekując na przeprawę. Męczące to i denerwujące. Nie jednak poradzić nie można. A skoro do przeprawy nie doszło, postanowiliśmy wolno przedpołudnie poświęcić na dokładniejsze zwiędzenie Suez. Ożywiony ruch w porcie, tutek na kanale. Barwny, choć nie tak bogaty jak w Port Saidzie targ. Turytów zagranicznych prawie nie widnie. Na tarasie restauracji dwie habasliwne Niemki otoczone wianuszkami Arabów piją piwo. Na nabrzeżu, kiedy oglądamy rybackie łodzie osiadające na dnie, bo trawa właśnie odpływa, pędził do nas grupa Francuzek i nie ukrywa wielkiej ochoty fotografowania się z chor. Stanisławem Sachajko, który w błękitnym hełmie z wielkimi literami MP — Military Police — przedstawia się zaiste reprezentacyjnie. Sachajko jest tutaj, w Suezie, komendantem placówki UNEFowskiej MP, bo i taka istnieje, a każdy z narodowych kontyngentów ma w MP swoich przedstawicieli. Zastępcą chorążego jest Fin. Sachajko, które-

go służba polega głównie na patrolowaniu miasta, zna je jak własną kieszeń. Poprosiłem, żeby zawiązał mi na alianckiej ementarz. Wiedziałem, że leżą tu Polacy. Ementarz dobrze utrzymany, zielony trawnik, krzewy podobne do naszej jarzębiny i pelargonie, także same jak u nas, w doniczkach na parapetach okiennych wiejskich chałup. Odnajdujemy cztery polskie wojenne groby: sierż. B. Długosza, szer. S. Śludyka, por. L. S. Piątkiewicz oraz szer. W. Kurianowicza.

Na tym ostatnim grobie wyryta data śmierci: 13.12.1947 r. Trzy lata po zakończeniu wojny? Powikłane są te nasze polskie losy. Przypomina mi się, że w pobliżu Suezu jest

NOTATKI

SPOD

BŁĘKITNEJ FLAGI (II)

Zbigniew Domino

jeszcze jeden ementarz aliancki, w Fayid, tuż nad brzegiem Jeziora Gorzklego. Odszukałem tam kiedyś siedem żołnierskich polskich mogił. A pierwszym był obelisk z nazwiskiem kan. E. Chmary z 8 paplot, który w chwili śmierci, w dniu 27 września 1942 roku, miał zaledwie lat 19! W Fayid pochowano także: strz. Cz. Dudka, szer. H. Piotrowskiego, kan. M. Maksymczuka, ppor. S. Otwinowskiego, ppor. W. Starczewskiego i majora M. Liporey-Steinera.

Na azjatycki brzeg Kanału Sueskiego przeprawiamy się motorówką już dobrze po 16-ej. St. szer. Marek Senkowski, bystry, wąsaty chłopak z Lublina, onże przewodniczący kolumny ZSMP w sueskiej bazie — czeka już na nas ze swoim gazikiem. Ruszamy nie zwlekając, bo przed nami prawie dwieście kilometrów drogi do Abu Zenimy. W normalnych warunkach to właściwie bagatelka, ale tu, na oustyni?

Na razie wszystko idzie jak z płatka, choć Marek musi dobrze kręcić głową i kierownicą, żeby wyprzedzić wlokącą się przed nami długą kolumnę ciężkich samochodów wiozących barakowozy dla amerykańskich specjalistów od nafty pracujących w okolicy Abu Rudeis. Udaje się nam to jeszcze przed ostatnim indonezyjskim posterunkiem. Droga coraz gorsza, zawiana piachem. Słońce siada coraz niżej, i my też siadamy. Po prostu grzęźniemy w piaskowej zaspie. No ale jakoś poszło.

Mijamy Ras Sudr. Z prawej niebieskie wody Zatoki Sueskiej. Z lewej zaczynają się nagie synajskie góry. Czerwono zachodzące słońce wywołuje bajkowe kolory. Ale ledwie się skryło, natychmiast zapadają gęste ciemności. Robi się późno. Nikogo nie spotykamy na drodze. Raz tylko, w wąskim górskim kanionie, przeskoczył nam przez drogę małutki i zwiny pustynny lis.

Skomawanie trzech posterunków: egipskiego, Izraelskiego i fińskiego. Przepuszczają nas bez przeszkód. Teraz, prawie do samej Abu Zenimy, pojedziemy drogą kontrolowaną przez Izraelskie patrole. Wiemy, że gdzieś tam w skałach, po obydwu stronach szosy kryją się wojskowe umocnienia i posterunki. Samochodowy reflektor ślizga się po skałach. W nocy jest tutaj szczególnie ponuro i groźnie. Znam tę drogę. Wiem, że od palmowej oazy, którą właśnie mijamy, już niedaleko do celu naszej podróży. Na zakręcie światło wylania na moment kilka wielebniaków stłoczonych na noc u zębom skalnego. Im też różnie, kiedy są w gromadzie. Izraelski posterunek. O dziwo, szlaban umieszczony, a wartownika nie ma. Widocznie od-

szedł do ja krawo oświetlonego namiotu stojącego w pobliżu. Kilkanaście metrów dalej posterunek fiński. Podjeżdżamy. Fin salutuje, notuje numer gazika i tonał szlaban. Jego posterunek oświetlony jest naświetlonymi lampami. Jeszcze parę kilometrów i Abu Zenima. Oddychamy z ulgą, bo jechaliśmy przecież bez żadnej asekuracji, jednym samochodem, a tu przecież noc, pustynia.

Budzi się mata polska placówką. Jest ich tutaj zaledwie sześć. Dwóch podoficerów zawodowych i czterech żołnierzy, w tym trzech kierowców i kucharz. Szer. Andrzej Ogórek. Porucznik Szczygłowski jest dobrym psychologiem, wie, co żołnierzom sprawi największą przy-

jest już tutaj od dwóch miesięcy. Nie za karę, broń Boże, po prostu jeździł na szludrze, no i robił to najlepiej. Więc teraz skromnie spuścił oczy, kiedy Szczygłowski go chwali i wręcza odznakę „Wzorowego żołnierza”. Owróć niewątpliwego honoru trzy dni dodatkowego urlopu.

MIKE

NOC przeleciała szybko. Lekroć tutaj nocując zawsze przypomniał mi się pierwszy przyjazd. Jeszcze sierżant Ciufczyk z dziewięćdziesiątą zmianą tutaj był. Ciekawy człowiek, dobry obserwator i przedni gawędziarz. Obudziłem się w nocy. Patrzę — Ciufczyk siedzi na po-laniu, nasłuchuje i wychodzi. Po chwili wraca. „Co tam było?” — pytam. „Dziecko płakało. Do Fina przyjechała zona z dwójkiem małych dzieci i to małe płacze. Nie mogę wytrzymać. Już dawno płaczu dziecka nie słyszałem”. Kładzie się sierżant Ciufczyk na twarde po-lanie i ciężko wzdycha. Wczoraj wieczór długo opowiadał mi o swojej rodzinie i zaprosił w odwiedziny do Krosna. Innym znów razem przyjechaliśmy do Abu Zenimy z płk. Hibssem. Marnie tu było. Dowódca zajął chłopakom do lodówki i zdenerwował się nie na żarty. Nie było tam za wiele zapasów. Kazał swojemu kierowcy oddać chłopakom wszystkie nasze soki i konserwy i do Ismailii wracaliśmy o suchym pysku. I już przez motorole, taki podręczny telefon, wygarnął pułkownik, co komu się należało. Ale to było na samym początku. Ktoś tam zapomniał, ktoś powołał się na kogoś. Dziś w Abu Zenimie wszystko gra jak w dobrym czasomierzu. Zrywam się jeszcze przed słońcem a razem ze mną sierż. Eugeniusz Wiśniowski. Idziemy się wykąpać w morzu. Słońce wylazi zza wysokich gór. Ciemnobłękitne morze lekko faluje. Ranek ciepły. A woda jeszcze cieplejsza. I czysta jak kryształ. To już nawet nie przenośnia. No i diabełnie słona.

jemność. Listy, oczywiście. Otrzymaliśmy wszystkie. I poznaliśmy nam z oczu. My tymczasem zmywamy z siebie pot zmieszany z piaskiem. Ale już jest gorąca herbata, Ogórek szykuje naprawdę coś do przegryzienia. Schodzą się żołnierze. Przeczytali listy. Wszystko w porządku. Siedzimy, gadamy. O tym, jak im się tu żyje, jakie radości i smutki



Na Mike... Autor (z prawej) w rozmowie ze st. sierż. St. Klattem

Fot. F. Węceć

towarzyszają ich żołnierskiej służbie. Abu Zenima jest najdalej w głąb południowego Synaju wysuniętą polską placówką. Jako grupa wydzielona z sueskiej bazy dostarcza wodę na fińskie posterunki. Warunki służby mają trudne. Drogi górskie, niekiedy wręcz stronne i pełne serpentyn. Dość duże odległości. Izraelskie patrole krążą po okolicy. Zakwaterowanie też nie tak dobre jak w macierzystej bazie. Więc wymieniamy się skład abuzenińskiej załogi raz na dwa tygodnie. Tylko szer. Januariusz Bochenek, krakowski rodak, szczupły, sympatyczny blondynek.

Pływa się wyśmienicie. Ali biega po brzegu i ujada. Boi się psisko wody. Abu Zenim, kiedyś miasteczko naftowców, dziś niemal całkowicie wyludnione. Stacjonuje tutaj fiński batalion i garstka Polaków. Śniadanie. Czas poegnać. Wsiadamy do gazika. Bochenek, który zabiera się z nami gwizdnie na Alego. Psisko jednym sussem skacze mu na kolana.

Dokończenie nastąpi

Pacjent - osoba czy obiekt?

ze alopatyczna medycyna jest obecnie bardziej otwarta na znane od lat naturalne metody terapii, a nawet rozważa możliwość ich wykorzystania na gruncie klasycznej sztuki lekarskiej. Ta postawa przedstawicieli oficjalnej medycyny wobec wiedzy potencjalnie konkurencyjnej jest dla laika zaskakująca. W istocie ma ona swoje głębokie uwarunkowania. Kluczem do zrozumienia przemian, jakie zaszły w stosunkach między medycyną oficjalną a medycyną naturalną szukać należy w przekształceniach wewnątrz samego systemu medycznego.

Ideologia medycyny XX wieku zakładała *expressis verbis* ciągłe sukcesy w walce o zdrowie i życie ludzkie. Można by łatwo udowodnić, że cel ów był realizowany z powodzeniem przez blisko pięćdziesiąt lat. Okres ten jest świadectwem ekspansji (oponowanie chorób zakaźnych, wynalezienie antybiotyków, zastosowanie kriochirurgii itd.). Te i inne sukcesy spowodowały, że prestiż naukowej medycyny wzrastał, lekarze cieszyli się coraz większym społecznym uznaniem, a uczelnie medyczne były przepelnione. Dobra koniunktura nie pozostała bez wpływu na postawy personelu służby zdrowia, których cechowała pewność siebie i zaufanie do własnych kompetencji. Wierzone w skuteczność stosowanych metod, a poglądy wyrażane przez pierwszych sceptyków, takich jak słynny dziś filozof społeczny Ivan Illich, który stwierdził, że medycyna „staje się najwięcej zagrożeniem zdrowia”, traktowano po prostu jako herezję. Pierwsze symptomy zmian pojawiły się dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych. Wtedy to właśnie świat lekarski został poruszony treścią raportów nadsyłanych przez biura regionalne Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) do centrali w Genewie. Wynikało z nich jednoznacznie, że typ opieki medycznej „eksportowany” do krajów trzeciego świata (stępnicyzowany, autokratyczny i biurokratyzowany) okazał się w dużym stopniu nieefektywny w innych warunkach kulturowych i cywilizacyjnych. Prawda ta była gorzka, bo wiadano, że właśnie w tych rejonach świata działają z powodzeniem liczni uzdrowiciele i znachorzy, posługujący się metodami medycyny ludowej. Wniosek mógł być jeden: model nauki medycznej oparty na farmakologii i skomplikowanych metodach operacyjnych nie cieszy się zaufaniem i prestiżem poza euro-amerykańskim kręgiem kulturowym, a więc nie jest uniwersalny.

Na początku lat siedemdziesiątych klasyczna medycyna kliniczna przeżyła kolejny wstrząs. W 1971 roku uczone zachodniemiecki Blohmke wykazał, analizując dane statystyczne dotyczące przyczyn zgonów na tzw. choroby cywilizacyjne, że oczekiwany okres przeżycia dla mężczyzn żyjących w RFN nie tylko nie zwiększa się, jak to miało miejsce przez ostatnie kilkadziesiąt lat, ale stopniowo zaczyna maleć. Cyfry wskazywały, że po raz pierwszy od długiego czasu medycyna zaczyna przegrywać walkę ze śmiercią.

Dyskusja jaka została wywołana opublikowaniem tych danych ujawniła między innymi, że coraz większa liczba lekarzy wątpi w skuteczność uprawiania praktyki opartej na zdecydowanej dominacji techno-chemii. Niektórzy wybitni przedstawiciele świata lekarskiego wyrażali publicznie opinię, że skoro w najbliższej przyszłości nie należy oczekiwać cudownego leku mogącego rozwiązać problem rosnącej umieralności z powodu tzw. chorób-zabójców (main killers), należy uczynić medycynę otwartą na użycie pewnych naturalnych metod terapii. Ostatnie lata przyniosły również inne wydarzenia, które zwróciły uwagę lekarzy na wiedzę pozaprzyrodniczą i pozakliniczną. Jeszcze nie tak dawno antybiotyki były symbolem nowoczesnej, skutecznej medycyny. Obecnie opinie się zmieniły. Częściej mówi się o skutkach ubocznych, przedawkowaniu i powikłaniach; że sceptycyzm w odniesieniu do leczenia opartego na szerokim stosowaniu antybiotyków jest uzasadniony, dowodzą wyniki badań nad grupą tetracyklin.

Są też inne problemy. Wielu pacjentów, zwłaszcza w krajach wysoko

uprzemysłowionych, zgłasza dokuczliwe dolegliwości o charakterze psychosomatycznym nie wywołujące wyraźnych zmian organicznych, wobec których tradycyjnie kształceni lekarze są bezradni.

Ciekawą ewolucję przechodzą formy opieki nad chorymi. Połowa dwudziestego wieku przyniosła zmiany w sposobie hospitalizacji. Szpital przestał być instytucją zamkniętą, gdzie prawa chorych były ograniczone, a stosunki z personelem lekarskim opierały się na bezwzględnej posłuszeństwie i hierarchicznej zależności. W latach sześćdziesiątych pojawiło się pojęcie „społeczności leczniczej”, w której ramach kontakty między lekarzami a pacjentami nabrały charakteru partnerskiego, opartego na współpracy i wzajemnym zaufaniu. Zmiany te, początkowo budzące sceptycyzm, są obecnie przyjętym sposobem organizacji pracy w wielu placówkach służby zdrowia. Te i podobne idee znalazły licznych kontynuatorów. Do najbardziej znanych należy angielska lekarka Cicely Saunders. Bliższe dwadzieścia lat temu zdecydowała poświęcić całe swe życie opiece nad ludźmi uznanymi przez współczesną medycynę za nieuleczalnie chorych. We wszystkich krajach rozwiniętych leczenie ich nieustannie rośnie. Medycyna nie potrafi co prawda skutecznie leczyć wielu typów nowotworów, ale jednocześnie na tyle udoskonaliła metody terapii, że okres życia chorych znacznie się wydłużył. W 1967 roku doktor Cicely Saunders dokonała otwarcia hospicjum św. Krzysztofa w Londynie. Skąd to niecodzienna nazwa dla placówki medycznej? Saunders stwierdza, że prowadzony przez nią ośrodek nigdy nie był i nie będzie miał cha-

rakteru szpitala. W hospicjum brak aparatury reanimacyjnej, nie ma respiratorów i bloków operacyjnych. Personel medyczny wykonuje mniej czynności, do których przeprowadzenia potrzebne są narzędzia, cały nacisk kładzie się na zaspokajanie potrzeb psychicznych i osobowościowych pacjentów. Każdy członek zespołu leczącego pełni praktycznie rolę psychoterapeuty. Głównym zadaniem lekarzy jest zmniejszenie cierpienia. Temu celowi podporządkowany jest cały rytm pracy. Częste kontakty z najbliższymi to ważny element psychoterapii. Są one łatwiejsze niż w innych placówkach służby zdrowia.

Wielkim problemem w opiece nad chorymi onkologicznie jest walka z bólem. Ból ten stopniowo rośnie towarzysząc pacjentom aż do końca. Chroniczne, nieustanne cierpienie związane z postępem choroby wymaga niekonwencjonalnego łagodzenia. W ośrodku dr Saunders chorzy otrzymują leki znieczulające doustnie, zanim jeszcze sygnalizują pojawienie się bólu. Środki te podaje się chorym z małą dawką ich ulubionego alkoholu. Pozornie proste remedium daje zaskakujące rezultaty, odpowiednio dawkowane środki przeciwbólowe pozwalają zachować pacjentom dobre samopoczucie i pełną świadomość nawet na kilkanaście godzin przed zgonem.

Jest to szokujące dla lekarzy odwieczających hospicjum po raz pierwszy. W relacjach osób wizytujących ośrodek Saunders powtarzają się często opisy wrażeń przeżywanych przez pacjentów przybyłych z innych placówek służby zdrowia.

Przybywają pełni bólu, zestresowani, bez wiary w sens dalszego życia. Potem stopniowo zyskują spokój, jaki daje wolność od cierpienia i wiara w ludzi, którzy leczą. Niekonwencjonalne, alternatywne metody opieki nad nieuleczalnie chorymi stosowane w londyńskim hospicjum wywołały początkowo krytykę ze strony przedstawicieli medycyny akademickiej. Działalność Saunders traktowana była jako wyzwanie racjonalnej medycynie. Stopniowo jednak stosowana w ośrodku terapia zyskała uznanie lekarzy i, co równie ważne, spotkała się z pełną akceptacją pacjentów i ich rodzin.

W ciągu jedenastu lat istnienia placówki kierowanej przez Cicely Saunders hospitalizowanych było ponad pięć tysięcy nieuleczalnie chorych. Jak dotąd nikt z pacjentów nie prosił o eutanazję; z godnością akceptowali nadchodzącą śmierć.

Nie ulega wątpliwości, że tradycyjna nauka medyczna przeżywa kryzys wartości. Ale czy współczesnej medycynie

TEN WIELKI KSIĄŻĘ JÓZEF

Dokończenie ze str. 1

czynnym jego zaangażowaniu odbyło się posiedzenie Sejmu Wielkiego i przyjęcie Konstytucji 3 Maja. Ta działalność polityczna, jak również barwne i ciekawe, nie pozbawione przygód albowiem życie ks. Józefa Poniatowskiego zostało opisane w wielu pozycjach bibliograficznych. Jedni autorzy ze względów hagiograficznych, by „nie kłaść”, inni dysponując uboższym materiałem archiwalnym pominieli wiele ciekawych przyczynków do wnikliwszego poznania osobowości bohatera epoki napoleońskiej. Tak więc ten wielki Józef książę Poniatowski pozostaje wciąż nieznanym z powodu m. in. kontrowersyjnych ocen historyków.

Po dwunastu latach od Insurekcji Kościuszkowskiej, w której wyniku dokonano ostatniego rozbioru Polski, sprawa jej odbudowy stawała się realną i polityczną koniecznością wobec parcia wojsk napoleońskich na wschód w roku 1806. Zaborcy pragnęli zjednać zawsze niepewny lojalności naród myślał o odbudowie Polski, tym bardziej że i sami politycy podbitego państwa podsuwali im te koncepcje: Antoni Radziwiłł Fryderykowi Wilhelmowi, a Adam Jerzy Czartoryski i Stanisław Niemcewicz Aleksandrowi I. Ludziom tym znana była sympatia cesarza Francji — duchowego i faktycznego przywódcy Legionów Polskich — dla sprawy odbudowy Polski.

Niemłody już, bo liczący w tym czasie 43 lata, Poniatowski zdawał sobie sprawę, że nadzedł czas

odegrania przez niego w tych rozgrywkach znaczącej roli. W opuszczonej przez Prusaków Warszawie zorganizował dla zapewnienia porządku milicję obywatelską i jako gospodarz stolicy powitał 27 listopada wkraczających Francuzów, a energią, upodobaniem do zabaw i gościnnością Pałacu pod Białą szybko zjednał sobie marszałka Murata. Drugiego, wielkiego protektora w osobie ministra spraw zagranicznych Francji, Talleyranda, zyskał mu usilnymi zabiegami hrabina de Vauban, właściwa pani-gospodyni w pałacu i zarazem kochanka Poniatowskiego oraz jego siostra, Teresa Tyszkiewiczowa. Bezpośrednio Napoleona jednak miała, uwikłana intrygami przez panią Vauban, Maria Walewska „przedstawiona” cesarzowi w połowie stycznia 1807 r., która jak mówili złośliwi, „nie bromiła się dłużej niż austriacka twierdza Ulm”.

W rozgrywkach o władzę nad armią polską najważniejszym przeciwnikiem Poniatowskiego był organizator i dowódca Legionów Polskich, generał dywizji Jan Henryk Dąbrowski. Pochłonięty całkowicie trudnymi, bo w warunkach wojennych, zagadnieniami organizowania w Poznańskim regularnych pułków wojska, nie miał takich możliwości jednania Napoleona, co siedzący w Warszawie książę Józef. Dąbrowski zabiegał o władzę nie metodą dyplomatycznych intryg, ale wprost w sztabie operacyjnym Francuzów za pośrednictwem przedstawiciela swoich interesów pułkownika Pakosza. W styczniu 1807 r. oficjalnie opowiadali się za Dąbrowskim generałowie Taszycki i Niemcewicz. General J. H. Dąbrowski, wychowanek pruskiej szkoły wojskowej, słabo znający język polski, obarczony odpowiedzialnością za losy legionów pozostawionych na obczyźnie, a wcześniej w części wyniszczonych na

San Domingo, bez sprzeciwu wykonujący polecenia sztabu francuskiego, nie był popularny u polskich polityków i magnatów, o których względy zabiegał w tym czasie Napoleon. Walkę o władzę wygrał więc bratanek króla polskiego i książę Józef Poniatowski.

Uparty Dąbrowski, nie godząc się z myślą poniesionej klęski, przez wiele miesięcy nie chciał podporządkować się Dyktatorowi Wojny, Poniatowskiemu, i dalej nie rezygnował z zabiegów o to stanowisko. Ranny pod Gdańskiem, więc jako zastępca w tej wojnie, był przyjmowany przez Napoleona w jego głównej kwaterze w Finkenshtein i tam cesarz 5 maja wypowiedział się do księcia Murata: „Słyszałem, że Poniatowski życzy sobie komenderować w linii, niechajże teraz tego żąda, a natychmiast mu będę akordował”. Popierający Poniatowskiego Murat natychmiast go ostrzegł: „... cesarz jest myślą dać Dąbrowskiemu Dyktatorstwo Wojny, dlatego że sam widział jego nogę, która mu tak prędko na koniu służy nie pozwoli”. Stanowisko Poniatowskiego stawało się już tak problematyczne, że jego oficer sztabowy przy Napoleonie, płk Łęczyński, zachęca w liście księcia, aby jak najprędzej przybył do Napoleona i prosił go o dowództwo nad korpusem Dyplomacja pań i tym razem go obroniła (AGAD w Warszawie, Teści Dąbrowskiego, t. 11, s. 10, 41, 222; Militaria Jablonney, 239, s. 10; Archiwum Wybickiego, wyd. A. Skalkowski, s. 2, s. 104). Przypuszczalnie Poniatowski nie zgodziłby się przyjąć dowództwa korpusem w czasie trwającej wojny między Francją a Prusami i Rosją, bo — jak dotychczas — na polu walki spotykały go same niepowodzenia.

Syn generała austriackiego i bliski krewny króla polskiego, książę Józef Poniatowski, szybko zdo-

grozi schizma? Niedawno we Florencji odbył się pierwszy światowy kongres medycyny naturalnej. Zdaniem wielu lekarzy kongres był punktem zwrotnym w dziejach nauk medycznych w Europie. Podczas obrad doszło do konfrontacji między przedstawicielami medycyny „konserwatywnej”, „klasycznej”, „biologicznej” a zwolennikami medycyny „naturalnej”, „alternatywnej”, „poszukującej”. Wielu badaczy bliskich orientacji „naturalnej” relacjonowało swe badania przeprowadzone w krajach rozwijających się, gdzie leżeniem często zajmują się osoby nie posiadające formalnych uprawnień. Przedstawiono raporty między innymi, ze słynnego Ayurweda Medical Center w Indiach. Jak się okazało, współczynnik wyleczeń przy zastosowaniu metod naturalnych dla chorych o podłożu psychosomatycznym, czy może psychosomatycznym jest tam zastanawiająco wysoki.

Ekspansja medycyny naturalnej dowodzi, że zdolności adaptacyjne (do istniejących warunków społecznych) i funkcjonalność (skuteczność) tradycyjnego systemu medycznego zawodzą. Faktem jest, że pomiędzy oczekiwaniami pacjentów a możliwościami ich zaspokojenia pojawiła się luka. Właśnie to niezaspokojenie potrzeb przez współczesną medycynę akademicką popycha wielu cierpiących ku medycynie alternatywnej. Obecnie system medyczny coraz częściej musi dostosowywać się do społecznych przekształceń. Rośnie poziom wykształcenia i zamożność przeciętnego obywatela, coraz większe są również jego aspiracje i wymagania w stosunku do placówek służby zdrowia. Dotkliwiej odczuwana jest przez pacjentów dysfunkcyjność organizacyjna otwartych i zamkniętych ośrodków służby zdrowia. Są one często widziane jako bezduszne instytucje biurokratyczne, zatrudniające urzędników — lekarzy. Nie trzeba przy tym zapominać, że przyszłe wymagania odbiorców świadczeń medycznych będą coraz wyższe.

Czy we współczesnych, wysoko rozwiniętych społeczeństwach przemysłowych utrzyma się istniejący podział na dwie medycyny? Wszystko wskazuje na to, że klasyczna medycyna wyciągnie właściwe wnioski z szybkiego rozwoju wiedzy medycznej o charakterze mniej technicznym a bardziej ludzkim. Być może oba sposoby uprawiania sztuki lekarskiej będą się uzupełniały, a leczenie duszy stanie się tak samo ważne jak leczenie ciała.

Włodzimierz Piątkowski

Okolice sztuki

Zycie a żywocik poczciwy

ZACZEŁO się z pięć lat temu, ale występowało sporadycznie, co kilka miesięcy, więc nawet w oczach cierpliwego obserwatora okolic sztuki nie układało się w prawidłowość, nie budziło podejrzeń, że rodzi się nam oto nowa era w plastyce, albo żalostną śmiercią ginie pewien wielki młot artystyczny, który przez długi czas żywił pokolenia twórców, nominujących siebie na ministrantów i kapłanów Świętej Tajemnicy Kościoła Sztuki Autonomicznej, zwolnionej ze służby społecznej, zwolnionej z szarwarków na rzecz polityki, historii i prostych emocji.

O ile pamiętam, najpierw wystąpił pewien architekt wnętrz i malarz, który po latach milczenia wziął pędzel do ręki i machnął trochę pejzażowych akwarel, wystawiając je w sklepie „Plastyka” przy lubelskim Krakowskim Przedmieściu. Obrazki były takie sobie pod względem warsztatowym, dość banalne, czemu się dziwić nie należy, albowiem autor, jak się rzekło, miał przerwę w życiu, nade wszystkim zaś lubił pracować w innym tworzywie: przy końcu lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych uprawiał swoisty strukturalizm, umieszczając np. w obrazach tubki po paście od zębów (czego nie należy kojarzyć z „fubkami tarb”). Słowem: w tamtym okresie autor stał blisko tzw. awangardy, wykonywał

przedmioty artystyczne, które nie szukały racji istnienia poza własną strukturą. Istniały tak, jak istnieje piasek, kamień przydrożny czy śpiew słowika.

W tym samym mniej więcej czasie powinien uczeń Kulisiewicza zaczął eksponować wykonywane przez siebie ołówkowe i kredkowe portrety różnych lublinian, które budziły ciepłe komentarze także i z tego względu, że były bezpretensjonalne, podobne do modeli, zgrabne. Obecnie autor poszedł „na całość” i stylizuje przedstawiane postaci na modłę secesyjną, a może trzeciorzędnie romantyczną: portretowane kobiety są fa'alne, mają przepastne i tajemnicze spojrzenia, coraz rzadziej obywają się bez wielkich kapeluszy a'la lasek bieleński czy bouloński z przełomu wieków, owłosienie ich zaś falami kadruje oblicza, wmontowane zresztą w owalne, „stylowe” passes-partouts. Nie jest to jednak tak ważne, jak



Rys. A. Stok

fakt, że równolegle autor kontynuuje wcześniejsze próby graficznej symbolizacji tzw. losu człowieka współczesnego, które pokazuje na normalnych wystawach okręgowych.

Inny grafik, który na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych był w swej branży czołowym przedstawicielem środowiska, realizując w technikach mieszanych abstrakcyjne „Grawitacje”, „IV wymiary” i inne tematy inspirowane fizyką, od pewnego czasu maluje lekko sentymentalne, a na pewno stereotypowe pejzaże, które eksponuje w celach handlowych.

Podobne krajobrazy produkuje od dwóch, a może trzech lat malarz, który wcześniej rozważał na płótnach zagadnienie światła jako nie wyczerpanej siły konstrukcyjnej obrazów, a potem oddał się idei swobodniejszej abstrakcji, która w

konkretnych próbach wchodziła w związek małżeński z figuracją. Płom jego działalność również można oglądać czasami w sklepie „Plastyka”, funkcjonującym zresztą pod czujnym okiem ZPAP.

Na koniec, jesienią minionego roku, w witrynie owego sklepu ukazały się kopie malarskie dzieł Rembrandta, Velazqueza oraz Bouchera lub Fragonarda, dokładnie nie pamiętam, wycenione różnie, gdzieś w okolicach 10 tysięcy, a autoryzowane przez plastyka, który miał pewien udział we wprowadzeniu tzw. nowoczesności do sztuki lubelskiej po roku 1955, ostatnio zaś inspirował się ikonografią magazynów ilustrowanych z superatą kobiecych wdzięków.

Było jeszcze kilka innych przypadków podobnej reorientacji, którym możemy dać pokój, bo nie ciekawego do sprawy nie wniosły. A jaka to jest sprawa? Każdy ma prawo do zmiany poglądów, a artyści korzystają z tego prawa wyjątkowo skwapliwie, aby — mówiąc banalnie — nie zatrzymać się w rozwoju. No tak, ale zreferowane historie świadczą nie tyle o rozwoju, tworzonej metamorfizie, lecz o zwyczajnym dostosowaniu się do oczekiwań klienteli. Ich częstotliwość i biografie bohaterów podpowiadają przy tym, że to, co w drugiej połowie lat pięćdziesiątych i w następnej dekadzie miało doprowadzić do zbudowania Autonomicznego Kościoła Sztuki, nie liczącego się z społeczeństwem, okazało się wewnętrznym doświadczeniem sztuki, po którym jeśli coś pozostało, to przede wszystkim katz. Milcząca większość, tak lekceważona i upokarzana przez artystów, przetrwała w spokoju ducha, a obecnie bierze odwet na ambicznych kreatorach, zatrudniając ich w charakterze rzemieślników i dekoratorów, własnych wyobrażeń o życiu oieknym i szczęśliwym. Zjawisko nie ogranicza się do lubelskiego podwórka, ma zasięg krajowy.

Coś mi się wydaje, że kończą się czasy demiurgów i ambitnych prowokatorów smaku powszechnego, a zaczynają — fachmanów od widoków, portretów, scen zbiorowych itp. Donoszę o tym ze smutkiem, mimo że od dawna szukam w sztuce tzw. życia. Zycie jednak, a żywocik poczciwy to sprawy zasadniczo odmienne, podobnie jak pacykowanie różni się od malowania.

IJK

bywał szlify oficerskie w armii naszego południowego zaborcy. W 1780 r., w wieku siedemnastu lat, był już podporucznikiem, w cztery lata później majorem, a w 1786 podpułkownikiem szwoleżerów przy boku cesarza. W kampanii tureckiej już w pierwszych kontaktach z wrogiem został ranny w nogę i wycofany. Brak doświadczenia taktyczno-operacyjnego odbił się fatalnie na jego reputacji podczas Insurekcji Kościuszkowskiej. Jako dowódca eterotyjskiej dywizji miał za zadanie, podczas oblężenia Warszawy przez armie carską i pruską, bronić północnego odcinka umocnień, tj. od Marymontu i Bielna do Powązek. Nieprzyjaciel przez kilka tygodni bez powodzenia atakował okopy/Warszawy, dopiero gdy uderzenie skierował na ten odcinek, z łatwością odniósł sukces. Bezładny odwrót dywizji Poniatowskiego wywołał przedwczesną panikę w stolicy. Gdy komendę na tym odcinku przejął Dąbrowski, a dwa dni powstrzymał ataki Prusaków, a nawet odbił część utraconych pozycji. Nadmienimy, że wielu uważa niechęć między tymi dowódcami za powstałą pod wpływem tych znamienitych wypadków. Niechęć ta zresztą została przerodzona w nienawiść w okresie Księstwa Warszawskiego.

Odzyskał książe Poniatowski reputację dobrego stratega, a jeszcze lepszego organizatora polskich sił zbrojnych dopiero w kampanii austriacko-napoleońskiej w 1809 r., kiedy to wojska nasze po nierozstrzygniętej bitwie pod Raszynem zajęły Galicję, niosąc wolność ziemiom zajętym przez Austrię w trzecim rozbiórce Polski. Sława ze zdobycia Kocka, Lublina, Sandomierza, Zamościa, Lwowa i Krakowa ugruntowała na zawsze bohaterski nimb Poniatowskiego. Patriotyczna młodzież masowo w tym czasie dezercerowała z korpusów rosyjskich i zasilala szeregi wojska polskiego, a ziemianie z Wołynia organizowali wojsko i administrację na oswobodzonych terenach. Rosja występowała w tej wojnie jako sprzymierzeniec Napoleona przeciwko Austrii, co nie przeszkodziło zresztą Aleksandrowi I w podpisaniu ukazu w dniu 24 VIII 1809 r., żeby włościan, którzy spieszą zaciągnąć się do armii polskiej, wieściąc w soldaty, innych wysłać do robót w fortcach, a szlachcie i magnatom konfiskować majątki ich samych oddawszy pod sąd (AGAD w Warszawie, Arch. Zamoykich, 82, s. 261, 315, 319).

Nie wiemy za to Poniatowskiego, Wykonywał rozkazy Napoleona, który obawiał się prowadzenia

wojny na dwa fronty. Mamy wiele dowodów patriotycznej postawy księcia ministra wojny dążącego do odbudowy Polski w jej przedrozbiorowych granicach i nieraz starającego się skłócić Francję z Rosją.

W Poniatowskiego planach odbudowy niezależnej, wielkiej Polski, która upadła nie bez winy jego stryja i ostatniego króla polskiego — co mu zresztą nie raz wytykano — pierwszoplanową rolę miała odegrać silna, wielotyjszcza, dobrze zorganizowana i zdyscyplinowana armia. Na tym niemałym odcinku pracy wykazał się książe zdolnościami, pracowitością i wielkim zaangażowaniem. Nie miał przyjaciół, ani sojuszników w rządzie, ponieważ ciągle potrzebował od ministrów pieniędzy, żywności, odzieży, ludzi i wielu urządzeń na rzecz armii. Na posiedzeniach Rady Stanu, czy Ministrów nie raz zarzucał brak zrozumienia, współdziałania i pomocy, co więcej — wytykał szkodliwe względem wojska zaniedbania administracji cywilnej, m. in. nieprzestrzeganie wydawanych ustaw i zarządzeń. Wymownym tego przykładem, jak wykazywał, było chronienie ludzi zamożnych przed „zaciąganiem wojskowym” i nierespektowanie wielu przepisów mających przeciwdziałać masowej dezercji i zbiegostwu poborowych przed wcieleniem do pułków. Generalny byrgady Turno informował ministra wojny, prosząc o zwolnienie od sprawowania komendy nad departamentem siedleckim: „... obywatele dostawiają samych biednych poddanych, porywając sieroty i wyrobników na kanton, a ludzi przystojnych, dworskich, służących nie dają; osiadłej szlachty wcale między popisowymi nie widać. Smiało W. X. M-ści zaręczycie mogą, że pomiędzy wszystkimi kantonistami, których departament siedlecki w liczbie tysiąca już dostawił, ani się 4 takich ludzi nie znajdzie, którzy by pisać, albo czytać umieli, albo z klasy poddanych i biednych chłopów nie byli”. W tym świetle zdumiewa nas fakt wystawienia w r. 1812 blisko stutysięcznej armii przez gospodarzo zadowolone, zrujnowane wojnami Księstwo Warszawskie. Jak wiele wysiłku musiał w to włożyć ks. J. Poniatowski!

Na krótko zatrzymamy się nad jednym z wielu jego postanowień organizacyjnych: nad całkowicie nieznanym w naszej historiografii kodeksie karnym wojskowym, który wbrew oporom Rady Stanu i niektórych generałów potrafił narzucić wojsku, przez co zaprowadził w nim ład, porządek

i zdyscyplinowanie. Wielką dyplomacją i przebiegłością wykazał się tu Poniatowski, bo zacieklej przeciwnił kodeksu był zaufany króla saskiego Fryderyka Augusta, minister sprawiedliwości Feliks Lubieński. Projekt karnego ustawodawstwa wojskowego nie doczekał się autoryzacji prawnej, mimo to obowiązywał w wojsku Księstwa w r. 1808, a także w wojsku Wielkiego Księcia Konstantego w okresie Królestwa Polskiego. Wydane drukiem (obecnie unikalne) „Artykuły. Wojskowe” dotyczące prawa karnego materialnego nie rzadko wymieniały karę śmierci i więzienia „w kajdanach do kuli” (2,5 kg kula żelazna przytwierdzona łańcuchem do nogi), ze wskazaniem najczęściej wykonywania prac ziemnych przy budowie fortec. Skazywano na karę śmierci: za rabunek z bronią w rękę, gwałt zbiorowy lub nad nieletnią, rabunek rannych na polu walki, współprace lub przejście do nieprzyjaciela, sianie paniki albo ucieczkę przed nieprzyjacielem, przewodzenie w dezereji lub namawianie do niej. Dla sądownia dezercerów powoływano sądy doraźne, tzw. sądy wojenne Szczególne, które miały dokładnie opracowaną procedurę sądownia, a nawet obowiązek przestrzegania przepisów co do miejsc egzekucji. Wyrok wykonywano w 24 godziny po zamknięciu przewodę przez czterech sierżantów, kaprali, muszkieterów (zatem 12 wojskowych), w obecności pułku stojącego bez broni, a skazanego doprowadzalo 50 uzbrojonych żandarmerów. Wykonane wyroki ogłaszano w dywizjach rozkazami dziennymi do wojska. W jednej tylko dywizji gen. Józefa Zajączka ogłoszono w 1810 r. 96 wyroków wydanych na dezercerów, w tym 9 dotyczyło kary śmierci. W tym względzie Poniatowski wzorował się na wojskowym kodeksie francuskim. Takie też prawo zaczęto później wprowadzać w armiach Prus i Austrii.

Niewielu naszych dowódców wojskowych cechowała tak wielka uczciwość, szacunek do prostego żołnierza, honor i umiłowanie ojczyzny, jak księcia Józefa Poniatowskiego, dlatego z tak wielką czcią społeczeństwa odbywały się w r. 1817 uroczystości żałobne związane ze sprowadzeniem jego zwłok na Wawel.

Leon Antoni Sulek

ratusza ponowienie poprzednich rozkazów. Komunikacja na liniach MPK, PKS i PKP utrudniona, ale prawie normalna. Powierzchnia ulic i szos zakłosa.

Godz. 24.00. Temp. $-10,5^{\circ}\text{C}$. Nadal śnieg, wiatr umiarkowany: 5-6 m na sekundę.

SOBOTA, 30 grudnia. Godz. 2.00. Temp. -11°C , pada śnieg, wiatr, do 7 m na sekundę, zamieć.

Godz. 7.00. Temp. $-15,7^{\circ}\text{C}$.

Prezydent Zieliński zwykle o tej porze zaczyna pracę. Jest tak i w tym dniu. Dowiaduje się, że wczorajsze zarządzenia są przez Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania przestrzegane: plugi odśnieżne w nocy i nad ranem usuwały skutki opadu śniegu i zadyмки. Dyrektor Leszek Bielski na posterunku i w stałym kontakcie z ratuszem.

W notesie i kalendarzu — po poświęconym spotkaniu z pracownikami Lubelskiej Spółdzielni Spożywców — prezydent przewidział odwiedzenie aktyw WSS „Społem” przy ul. Buczka, aby podziękować za caloroczny trud i stosunkowo dobre zaopatrzenie przed Gwiazdką. Nie odwołuje zarządzeń, zasadniczy rytm pracy ma się utrzymać. Wkrada się już niepokój, znajduje to wyraz także na spotkaniu z kierownikami wydziałów Urzędu Miejskiego, ostatnim w starym roku, a więc bardziej uroczystym, ale jeszcze jest mowa o dobrym wypoczynku w oba wolne dni, o najlepszej atmosferze na sylwestrowych balach, o powodzeniu w Nowym Roku 1979.

Przedtem odbyła się narada z zespołem do spraw zaopatrzenia, aby nie lulał w tym ostatnim dniu handel.

Godz. 13.00. Temp. $-16,4^{\circ}\text{C}$. Pada śnieg, wiatr umiarkowany.

W notatniku prezydenta zapis: Pod warstwą śniegu niebezpieczna gołoledź.

z. Zieliński dopowiada:

— Taka zima u nas to przecież normalna. Taka zima w Polsce, a tym bardziej w jej wschodniej części, powinna być. Wczorajem notowano $-19,2^{\circ}\text{C}$. Właśnie wpół do ósmej, kiedy wreszcie zszedłem do domu. Powinna być taka zima, to powtarzam. No tak, ale w zedzień przed południem mieliśmy szcze $+5$ stopni. Było podobnie jak w inione święta. Nowy Rok zapowiadał się po wodzie! Komunikaty radiowe i telewizyjne z północy kraju roły wrażeń, budziły czujność. Może dlatego te nagle przeskoki z ciepła w róż potraktowaliśmy poważniej? Już o południu miałem pierwsze kontakty z ten temat z przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej, a zarazem i sekretarzem Komitetu Miejskiego PZPR w Lublinie, Stanisławem Mantykiem, z wojewodą Mieczysławem Stępnem. Wój zastępca, wiceprezydent Bolesław Nurzyński był wciąż czynny, zajęty przeciwdziałaniem się temu właśnie, czego mieliśmy prawo się obawiać. Widzieliśmy owe ponad 500 km ulic i dróg dojazdowych, które były odśnieżane, ale przecież śnieg wciąż padał, anulował skutki przeprowadzanych robót. Wiedzieliśmy: dowożenie towarów musi być utrzymane. I było. Trolejbusy i autobusy mają normalnie kursować. W tamtą sobotę, chociaż z trudem, udało się komunikację utrzymać. W domu otrzymywałem telefony, sam dzwoniłem niejednokrotnie do naszych służb. Ujawniłem się, że niedziela ani dla mnie ani dla moich współpracowników, dla setek ludzi w Lublinie, nie będzie dniem wypoczynku.

NIEDZIELA, 31 grudnia 1978 r. Sylwester. Temp. minimalna $-20,7^{\circ}\text{C}$, maksymalna -18°C . Wiatry od 8 do 12 m na sekundę. Widzialność od 600 do 300 metrów.

W pracy przebywałem do wieczora. Cała ówca padał obfity śnieg. Do ratusza o parlem w zadymsce i w takiej samej wracałem. W sekretariacie pełnił już dyżur Edward Tatarski, po południu Michał Dadej, a od 21.00 Czesław Przyłucki.

Przebiegają się o poważnych zakłócenia w dostawie mleka do dyżurujących sklepów w Kalinowszczyźnie. Bronowiczach i Lubartowskiej. Butelki pękają w czasie transportu i przed sklepami. Pożyciem utrzymanie ciągłości pracy całego sprzętu Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania i włączenie do odśnieżania zakładów. Ci, którzy mieli niedziele wolną, wracają do pracy, jeżeli są siłami lub słyszeli apele radiowe. W telefony z miasta, prośby o odśnieżenie ulic H. Sawickiej, Buczka i Królewskiej, Tę ostatnią widać z mo-

Jego ofna, więc polecenia do MPO. Na rondzie przy Zana w śniegu stoi Berliet i tarasuje drogę, to samo samochód przed Lubelskim Domem Kultury na Patrowskiego. Dalsze polecenia... Awaria centralnego ogrzewania w budynkach przy Koryznowej, więc dyżurny dzwoni do energetyki ciepłej. Ogrzewanie zostanie przywrócone w południe. Są pierwsze meldunki o pękaniu kaloryferów w klatkach schodowych.

Z wiceprezydentem Nurzyńskim zwołujemy naradę w sprawie oczyszczania ulic i placów. Śnieg jest usuwany, widzimy to, gdy jeździmy po mieście. Pod kołami jednak lód, jeszcze bardziej w tych miejscach, gdzie śnieg się utwardził. Widać, że chlorek sodu już nie pomaga. Są wyboje, miejsca niebezpieczne. Plugi napotyka na opór lodowo-śnieżnej powierzchni. Co odepchną na obrzeża, wiatr znowu wlewa na jezdnię. Nakazuję jednak wciąż od-

stawowi Krukowi oraz I sekretarzowi KM PZPR Stanisławowi Mantyce. Odwiedzamy kolejarzy, składamy im noworoczne życzenia. Walczą o przywrócenie sprawności tej górki i zwrócić już drugą dobę. Miotacze ognia w ich rękach, wciąż wznawiany wysiłek, ale żywioł jest nieustępliwy. Po kilku minutach mróz znowu skruwa zwrótnice, więc oni wciąż od nowa, i znowu, i jeszcze. Nie nadeszły pociągi z Kudowy i Warszawy. Nie odeszły do Gdyni, do Krakowa i Łodzi, do Białegostoku i stolicy. Dwa pociągi z węglem unieruchomione. Jeżeli transporty z węglem przebijają się ze Śląska, trzeba być przygotowanymi na przyjęcie i odesłanie wagonów. Lubelskie elektrociepłownie posiadają jeszcze opał, tu nie czujemy zagrożenia, nawet gdy trzeba będzie zaczerpnąć z zapasów. Ciepłownia Fabryki Samochodów Ciężarowych osłabła, mamy sygnały, że na Tatarach i

kich nawet ciężki sprzęt nie może ruszyć dolnej warstwy zlodowiałego śniegu. Na ręczne odkuwanie za mało czasu. Przy samej jezdni temperatura wynosi aż -28°C . Dowództwo Garnizonu daje dwa czolgi, które swoimi gąsienicami kruszą twarde podłoże, aby mogły je zebrać spychacze, wywieźć wywrotki. Decyzje sztabu odśnieżania miasta są respektowane. Tysiące mieszkańców, głównie w grupach fabrycznych, odśnieżają ulice, rozkuwają ich twarą nawierzchnię, łagodzą skutki zawiei z poprzednich dni. Po południu i pod wieczór następuje ocieplenie, także w mieszkaniach. Jednak znowu awarie ciepłociągu na odcinku ulic Bieruta i Ojrzei. Każdego dnia uczestniczymy dwukrotnie w posiedzeniach sztabu wojewódzkiego (do spraw zaopatrzenia, rozładunku wagonów, ogrzewania i odśnieżania) prowadzonych przez wicewojewodę Słowiańskiego.

ŚRODA, 3 stycznia. Temp. minim. -14°C , maksym. -9°C . Wiatr do 5 m na sekundę.

— Praca w zakładach wznowiona, nabiera coraz bardziej normalnego biegu. Dziesiątki milicjantów ruszyło do odśnieżania z łopatami, wielu reguluje ruch na skrzyżowaniach i w bardziej niebezpiecznych miejscach. Dobrze się składa, że jeszcze w grudniu zapowiedzieli się na 8.00 komendanci KW i KM MO, mam okazję podziękować. Z I sekretarzem Komitetu Miejskiego PZPR znowu jestem w stałym kontakcie. Na spotkaniu sztabu oceniamy sytuację. Jest lepsza niż na północy kraju i w stolicy. Nie możemy sobie jednak powiedzieć, że kłopoty są już za nami. Dalsze postanowienia. Oczywiście, nadal pomoc wojska jest bardzo potrzebna, jak w poprzednich dniach, zakładów pracy i instytucji — także. Produkcja ucierpieć nie może, stamtąd zbyt wielu ludzi prosić nie jesteśmy w stanie. Potrzebny większy reżim w oszczędzaniu prądu. Wieczorna kontrola wykazuje nadmierne oświetlenie zakładów i klatek schodowych. Za niewykonanie obowiązku oczyszczania około 250 opomnień ustnych i pisemnych, 30 mandatów karnych oraz wniosków do Kolegium do Spraw Wykroczeń.

Zostali powołani pełnomocnicy prezydenta przy komitetach osiedlowych, ponieważ samorządy mieszkańców nie wszędzie spełniają dostatecznie swoje zadania, gdy chodzi o zwalczanie skutków zimy. Od rana była zamieć. Tam, gdzie przejeżdżono była już znośna — pogarszała się, więc dla ekip dodatkowa robota.

CZWARTEK, 4 stycznia. Temp. minim. -21°C , maksym. -10°C . Wiatry od południowo-zachodnich do północnych. Szybkość od 1 do 4 m na sekundę, a jednak zamieć i zawieje.

— Śnieg padał rzadziej, ale wiatr nie ułatwiał sprawy. Znowu ciężarówka własne i przedsiębiorstw wywołała za miasto zbrzydony śnieg. W trynastu zakładach powołujemy grupy samoobrony. Najczęściej odśnieżają bocznice kolejowe do własnych fabryk.

We wczorajszym „Sztandarze Ludu” na ostatniej stronie, po opisie sytuacji, dodano pełne nadziei słowa: „Miasto ożyło”. To prawda, ożyło we wtorek i wczoraj. W czwartek było to jednak widoczne jeszcze wyraźniej. Członkom miejskiego sztabu poprawiają się humory.

PIĄTEK, dnia 5 stycznia 1979 roku. Temperatura minimalna -24°C , a maksymalna już -8°C . Wiatr o różnej szybkości: 7-9, a nawet do 12 m na sekundę.

— W moim kalendarzu już coraz mniej zapisków na temat wysiłku związanego z opanowywaniem żywiołu. W notatniku także. Śnieg padał, zamieć i zawieje były większe w piątek niż w poprzednich dniach, temperatura niska, ale sytuacja w głównych punktach została opanowana. Ludzie nie poddawali się już więcej przewadze przyrody, chociaż sądząc z termometru, opadów i siły wiatru, dzień był o wiele trudniejszy. Pociągi odchodziły i przychodziły już coraz regularniej, autobusy i trolejbusy pokonywały trudne warunki sprawniej niż w poprzednich dniach.

Oceniam rzecz tak: gdyby nie było deszczu 29 grudnia, takiego ciepła, a zaraz po nim mrozu — zakłócenia przed tygodniem też by nastąpiły, ale nie takie, które sytuację uczyniły tak poważną. Deszcz i zaraz mróz, to przecież zakucie wszystkich, co potrzebne do normalnego życia. Sztaby wojewódzki i miejski zdały egzamin. Zdali go ludzie z przedsiębiorstw służących miastu na co dzień, no, a przede wszystkim ochotnicy z przemysłu, instytucji, wojska i MO. Była to trudna próba. Pozostała nauka, płynnie ona z tego cośmy teraz odtworzyli o tamtych dniach.

Notował: Tadeusz Jasiński

ZMAGANIA

ZAPISKI PREZYDENTA LUBLINA

nowa patrolować ulice, zdejmować świeże warstwy śniegu. Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne stara się utrzymać kursy autobusów i trolejbusów, jednak punktualności nie udaje się zachować. Dwunastka jeździ już tylko do Domu Opieki Społecznej na Węglinie, linia 32 skrócona do Zbożowej.

Niektórzy, takie odnoszą wrażenie, jakby się demobilizują. Komunikaty o tym, co się dzieje na północy kraju, te o stanie kłęski żywiołowej, powodują, że utożsamiają oni naszą sytuację z tamtą. Nasz sztab i inni współpracownicy, którzy stawili się sami lub zostali wezwani, starają się, aby sytuację traktować niezwykle poważnie, ale rozsądnie, nie popadać w histerię. Wygod rzeczwiście nie będzie a bale sylwestrowe? Jak komu się posześci. Ale po spełnieniu obowiązków.

Władze partyjne miasta i województwa, a także wojewodowie, wciąż są w kontakcie: przede wszystkim mamy utrzymać przejeżdżalność ulic, dróg wylotowych, komunikację, dobre ogrzewanie w mieszkaniach, prąd, dopływ wody, funkcjonowanie kolei. Odzew dyrekcji i załóg zakładów w tym dniu różniocowany. Nie zdawano sobie chyba jeszcze sprawy z powagi sytuacji, która się rozwijała. Sypał śnieg, był porywisty wiatr, ograniczona widzialność. Zarządziłem dalsze utrzymywanie dyżurów wszystkich działów, od których zależy normalne funkcjonowanie miasta.

PONIEDZIAŁEK NOWY ROK 1979. Temp. minim. -19°C , maksym. -16°C . Nadal pada śnieg. Wiatr ucicha nieco, ma szybkość 4-5 m na sekundę.

— Z nocnego dyżuru wiadomo, że potrzebnych było wiele interwencji Urzędu Miejskiego. Nocą byliśmy z wiceprezydentem Nurzyńskim wciąż w kontakcie, także z władzami zwierzchnimi. Kilka awarii c-o i wodociągowych, okresowe wylączenia prądu. Raz tu, raz gdzie indziej, aby sorawiedliwie, skoro taka konieczność. Sprzed Pogotowia Ratunkowego i szpitali trzeba było częściej niż gdzie indziej usuwać zasy. Pracownicy MPK mają poczucie dyscypliny. Zamiast planowanych 17 trolejbusów wyjechały o dwa więcej, z 55 autobusów 40 kursuje już od wczesnego ranka, dalszych 15 wyjeżdżie w przewidzianym czasie na trasy. Kursować jednak mają zgodnie z możliwością w rzeczywistości w tych warunkach szybkością, a nie według rozkładu. Na nawierzchni głównych ulic śnieg leży grubo, jest utarty, mocno ubity, więc bardzo śliski. Nakazujemy unikać ryzyka, wszelkiego niebezpieczeństwa dla pasażerów i kierowców. Na bocznych ulicach leży sypl śnieg.

Tory znowu zasypane. Zwrotnice na stacjach PKP zagrożone, coraz trudniej utrzymać funkcjonowanie górid rozrządowej. Towarzysze I sekretarzowi Komitetu Wojewódzkiego PZPR, Władzy-

Kalinowszczyźnie zimniej. Za to w elektrociepłowni nr 2 na Wrotkowie wszystko w porządku. W tym samym gronie jedziemy i tam, aby podziękować, no i z życzeniami noworocznymi. Już trzecią zimę tak dobrze pracują.

Wracam do ratusza. Od 10.00 do 14.00 przyjmujemy z wiceprezydentami noworoczne życzenia. W myślach mamy to, co dzieje się w mieście. Jest okazja wskazać przedstawicielom organizacji społecznych, przedsiębiorstw i instytucji na powagę sytuacji, mówić o potrzebie pomocy służbom oczyszczania, o tym, co trzeba będzie zrobić we wtorek. Są jednak sprawy bieżące. Przy Spółdzielczej trzeba spowodować odśnieżenie do magazynów spożywczych WSS „Społem”, to samo przed izbami przyjęć szpitali na Jaczewskiego i Bierackiego. W kilku miejscach awarie wodociągowe, w dziesiątkach domów pęknięte kaloryfery. Ani moi zastępcy, ani ja tego nie naprawimy. Oczywiście, że nie, ale wszystkie, najmniejsze nawet zdarzenia dochodzą do sztabu miejskiego. Wydaje się polecenia, nawet rozkazy. Czynnikiem kontrolny jest również ważny. Wiceprezydent Nurzyński nakazuje spółdzielniom mieszkaniowym i adresem odśnieżanie chodników, dojazdów do sklepów, ponowną kontrolę zamknięć w klatkach schodowych. Rozeznanie: przed południem pracowało najwyżej 30 proc. dozorców, po telefonogramie około 70 proc.

O 20.00 radiokonferencja prowadzona przez wicewojewodę Zdzisława Słowiańskiego. Długa lista zadań. Przede wszystkim dobra praca piekarni, przywóz i rozwójka mleka, zaopatrzenie sklepów spożywczych, rozładunek węgla, oszczędność energii elektrycznej.

WTOREK, 2 stycznia. Temp. minim. $-23,4^{\circ}\text{C}$, maksym. -10°C . Wiatry słabe i umiarkowane, ich szybkość od 1 do 5 m na sekundę. Zamieć.

— Lżej, bo włączają się wyraźniej zakłady — u siebie i dla miasta — wykonują zalecenia co do akcji odśnieżania. Rano poprosiłem do siebie dyrektorów tych przedsiębiorstw i zakładów podległych Urzędowi Miejskiemu, od których zależy normalne życie miasta. Chodzi głównie o dojazdy do piekarni i masarni, magazynów i sklepów. Śnieg pada nadal, jest pusty, ale na szczęście wiatr zmalał wyraźnie. Chwilami tylko przeszkadza ludziom w robocie. Autobusy MPK stają na trasach, również samochody ciężarowe. Olej nie przystosowany do warunków atmosferycznych, zamarza paliwo w samochodach dostawczych i spychających śnieg na pobocze. Polecam wydanie 45 tys. litrów odpowiedniego oleju dla MPK i innych służb. W śróde przemysł ma znowu produkować. Autobusy muszą dojechać wszędzie, nie tylko głównymi arteriami. Tymczasem na Krakowskim Przedmieściu i w Alejach Racławic-

Dedykujemy węgierskim przyjaciółom

ZAMIAK poświęcenia „Zrodził literaturze węgierskiej — zmale-
realizowany w postaci kolumny, które czytelnik dziś otrzymu-
je — powstał w czasie pobytu grupy pisarzy lubelskich w Bu-
dapeszcie. Jednak nie tylko ów wrześniowy, obfity w inspi-
racje twórcze wyjazd był przyczyną naszej inlejaltywy. Obserwujemy w
ostatnich latach wzrost popularności literatury węgierskiej w odbiorze
czytelnictwa. Rosnie jednocześnie zainteresowanie młodych tłumaczy
tą literaturą, mimo że bariera językowa jest tu bardzo trudna do po-
konania. Te zjawiska wydają się być szczególnie wartościowym akcen-
tem w mającej wielowiekową tradycję przyjaźni naszych narodów.
Zbieżność narodowych losów, poświadczona wydarzeniami z dawnej
i nowszej historii, przejawia się także poprzez zbieżność wątków obec-
nych w literaturach obydwu narodów, przez zbieżność wyrażanych w
nich postaw wobec najważniejszych zjawisk życia społecznego, przez
przystawalność niesionych przez dzieła obydwu tych literatur systemów
wartości. Poezję, która na tych kolumnach przeżyła, cechuje, jak zresz-
ta i w Polsce, szersza niż w większości innych literatur europejskich
rozpiętość poszukiwań formalnych połączona z szacunkiem dla trady-
cji. Analogie dadzą się również prześledzić w życiu literackim, w jego
powojennej historii i dniu dzisiejszym.

Obok prac uznanych i cenionych tłumaczy (K. Sutarski, B. Zadura)
publikujemy tłumaczenia autorów debiutujących w trudnej sztuce prze-
kładu (P. Gembał, T. Kwiatkowski). Mamy nadzieję, że swymi dal-
szymi poczynaniami translatorskimi przyspieszą oni przepływ twórczej
myśli między Polską a Węgrami. Cztery kolumny, które dedykujemy
Przyjaciółom z Węgier, niech będą skromnym wkładem lubelskiego śro-
dowiska młodoliterackiego w tę sprawę.

Bogusław Wróblewski

István Ágh



CZEGÓŻ MAM CI ŻYCZYĆ

Jakie naga byłaś zapewne,
aż serce widzieli od skórą ci,
którzy cię kochali,
jakie berbronna byłaś kiedyś zapewne,
jeżeli opinasz się dziś aż po szyję,
miedziany szyszak włosów naciągasz na oczy,
samotność oswojasz tuż przy swoim łożu!

gdy rozbijam orzech
znajduję cztery skrzydełka aniele,
lec ciębie czym mam rozbić, czegoż mam ci życzyć?
jaki wiatr mam posłać, by wyrwał cię
jak krzew, rzucił w ciężkie objęcia?
czym mam napić abyś zapomniała o tym
co mnie nieznanie, nie wiem
czy twoje zwierciadło nie stało się ślepiami tygrysa,
może ograbiona cię zwolna,
jak to z niewinnymi zwyczaj?

jaki mam podać alkohol,
byś boso tańczyła na jezdnii,
czy ciskać mam może papierowe strzały
jak w szkolnej ławie, abyś śmiać się zaczęła,
mam-że głowę na brzuch ci złożyć,
jak dzieciak matce swojej
czy mam żgać cię tą czastką,
pustoszyć wzrok, frwzurę i suknie?

a nie chcę cię urazić,
dnie bez miłości są takie prędkie,
raptem natkniemy się na śmierć,
jak na bezpańskiego psa po północy,
czegoż mam ci życzyć?
tego, byś w rzecznej pianie ujrzała swój szkielet?
gdy poczęła opadłe liście orzechów?

jakąż jest twoja gorycz,
jeżeli opinasz się dziś aż po szyję,
miedziany szyszak włosów naciągasz na oczy,
samotność oswojasz tuż przy swoim łożu!

Przel. Konrad Sutarski

MÓJ PRZERAŻONY ŚWIT

Prześcierałem w kibelk stłamsiłem pod brzuchem,
ponownie wgrzebałem się w głębinę łożka,
poducha biały kaptur wieńczy mi głowę,
pękają i schodzą się fałdy na pledzie,
suplając się: siarczanych welonów snu,
sam sobie obcy, drugi, znoszona ścierka
powoli kuśtykam spod nich na świat,
nade mną sunie cała jasność słońca,
sunie i klamki miedziane rozpala,
płyną wywrócone jedwabie podszewek,
wykręcają się pstre pędy ubrań,
kolnierzami wspinają się na wieszaki,
nadmuchane firany płyną w przeciagu,
dźwigam się do nich, gramolę, tażę
po zacięzionym gaju nieporządku,
gola przez buty o zwieszonych jeziorach,
ryję i weszę w narzekaniach płotków,
tam, gdzie zapadają się kwiaty w wazonach,
w zapachach bzu, popiołu i naftaliny,
w porostawionych ogrzykach jabłecznych,
slaniam się skórą bładością zaświatów,
z pomroki w światło, ze światła w pomrokę,
z grymasem właściwym pomiętym obrazom
włóczę się ze starczo opuszczonym nosem,
włozę książki pełne oslich uszu,
jak przekartkowane, zamknięte miłości,
wielokrotnie się, tłoczę przerażone świty,
urwany guzik, pusta kieszeń, okruchy,
pojęczy na lampie, jakieś żółte pyły,
sierścią porasta przewód telefonu,
gdyż tulam się, to tu to tam zataczam,
ed szpary do szpary, otwierając drzwi na drzwi,
powoli przeważam się w ducha,
aby wyrwać się stąd dokądkolwiek.

Przel. Konrad Sutarski

ZRÓDŁA

CZTERY KOLUMNY MŁODOLITERACKIE

László Nagy (1925-1978)



CIEŃ SAMOLOTU

Wielki instrument hucząc
unosi ciebie niby zdobyczą.
Zostanie mi cień, krz...
znak, na mym łożku w-palony.

Cichnie twój słodki szczebiot,
już boli ta strona, gdzie serce,
a wciąż mkniiesz, mkniiesz na czubku
palca koronowym cukierkiem.

W blat stołu wpięram łokcie,
dłonie Boga też cię nie schwyca.
Próżno wspomnienie lykam;
zapycham swe gardło śnieżyca.

Noc każda jest wciąż czarna
ideą wrytą w marmur gładki.
Uśmiechu twego trzeba,
by starł kamień, e me nota!

Trzeba, byś nadleciała,
od strony Wenus się zbliżyła,
rysunkiem swoich ramion
na łożku cień... to zakryła

Przel. Bohdan Zadura

DRŻĄCY SREBRNY CHŁOPIEC

Jeśli dochodzisz do wieku
drżącego srebrne o chłopca
nie będziesz ba-dziej czysty
zacniejszy ani lepszy
kurcząc mięśnie
będziesz skąpy i chciwy
jak twoja babka która
za jeden talerz wisławiwej tupy
mogłaby pobić cały świat

Niech nie będzie zbawieniem
co jest pisane przeciw tobie
weź dobry środek - trucznie
spokojnie srebrny chłonce
nie bój się złena snu
twarz się odważnie na łożku
jak z kobietą... z aniołem strobim
katastrofa miłosierne
która świeci jak teczka

Przel. Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

József Utassy

GDZIE MŁODOŚĆ ZAGINIONA

Gdzie młodość aginiona
leży w trawie na wznak,

W wielkim cieniu chmur
próżnujesz w przemijaniu.

Drut elektryczny - nutr - dźwięki
jaskółki, dzikie gołębce.

Gwizdanie ich wyciszające, ciche.
Młodzieniec jesteś. Nieśmiertelny.

Przel. Tadeusz Kwiatkowski-Cugow



poetom z antologii „Ziemia niedościgniona”

NICZYM JELENIE

na „Cantatę profana” Jenő Szervátiusza

Ukazanie się przed kilku laty antologii „Ziemia niedościgniona”
zawierającej utwory dziewięciu młodych pisarzy węgierskich było
przejawem wejścia do literatury nowego pokolenia twórców. Pisarze
ci wnieśli do literatury nowy stosunek do węgierskiej historii, u-
wiodli ją od pesymistycznego pigła wojny. Jedną z nich - J.
Utassy, autor kilku tomów poezji należy do grona najbar-
dziej cenionych poetów węgierskich. (przyj. tłum.)

Dziewięciu, jakoby jelenie. Dziewięciu.

Półksiężycem wschodzi wielki luk naszego
ojca, niby płomień św. szczytu w gaju olowy.

Naprzeciw wiecznego Starucha Srebrnego
stajemy, ku gwiazdom sztywno wznosząc głowy!

Dziewięciu, jakoby jelenie. Dziewięciu!

Płoszymy się własnych już kopyt stukotem,
mowa śpiew odstrasza, stała się belkotem.

Z ojczyzny wygnani, bezdomnie żyjemy,
rogami niebieskie zimno bronujemy.

Trą skórę gałęzi, nieba rogów brony!
Czasie, który nasze oszraniasz korony

Wiolonczeli nawet gdy struna zawaczy,
Ni piękniej miłośniej, ni śmiertelniej, starczy,
gdy zawaczy struna owa w rękach starczy!
krew wszystka z żył puszczą ucieknąć, odolynie,
z tej puszcy chodzącej w bardoży gęstwinie,

Dziewięciu! dziewięćdziesięciu dziewięciu!

Już większa ta liczba od Czterech Miliardów,
czerwieni się, waha, zmienia liczba bardów!

w kotowski chłód Łuku na nowiu księżycal

Gdy Srebrny Starucha owiesz się jelerim
słowem, słów młodości naszej złoto przemilcz!

Z PUCHARÓW PRZED WALKĄ PILI NIE BĘDIEMY,

a źródła staniemy,
też się napijemy.

Przel. Bohdan Zadura

Sándor Rákos

PROJEKCJA

zmywak
makatka
pełne wiadro brudnej wody
pada
jajko w szklance
zwiedle kobiece lono
pada pada
ślubna fotografia
sztuczne zęby
pantofle pod łóżkiem
pada
bonzurka pas przepuklinowy
krucyfiks
odpadający tynk
kropi deszcz
otwiera i zamyka
obraz za obrazem

czerwoną linią kreśli
byskawica



Przel. Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

POLSCY ŻOŁNIERZE UCIEKINIERZY 1939

w barwę ochronną rozpacz skryta
na przygrzanych wargach szarość

rozproszyli się jak biblijne ludy

egzekucja butów i juchtu stuk
są też kobiety

oko studenta ich obraz utrwali

benzynę tankuje dowództwa jeep

po konserwach
puszka luską naboju na bruku

klucz dzikich kaczek
przedziera się na Południe

na tablicach nieba zgrzytających
kreśli swą geometrię bombowce

Przel. Bohdan Zadura

MIĘDZY DWIEMA

Korzystając z pobytu w Polsce p. Csaby Kissa poprosiliśmy go o udzielenie dla „Zródeł” odpowiedzi na kilka pytań:

I. Jak ukształtowało się pańskie zainteresowanie literaturą polską, jakie formy zawodowej i społecznej działalności towarzyszą mu obecnie?

II. Jakle jest pańskie zdanie na temat młodej literatury węgierskiej?

III. Jak wygląda „geografia” węgierskiego życia literackiego?

IV. Jak ocenia Pan obecność literatury polskiej na Węgrzech?

IZACZNIJMY może od mojego miejsca pracy. Choćby dlatego, że głównym tematem moich badań są polsko-węgierskie stosunki literackie. Pracuję w Zakładzie Badań Literatur Wschodnio-europejskich, który rozpoczął swoją działalność kilka lat temu, chcąc przybliżyć naszej naukowo-literackiej świadomości literaturę naszych sąsiadów, przede wszystkim zaś literaturę regionu Europy środkowo-wschodniej. W Zakładzie jest nas dwóch polonistów; razem z kolegą Istvánem Kováčem przygotowujemy nowy zarys historii literatury polskiej przeznaczonej dla czytelników węgierskich. Rozumie się samo przez się, że zajmujemy się także paralelami i powiązaniami literatury polskiej i węgierskiej. Jednym z najbliższych zadań jest obecnie

opracowanie percepcji literatury polskiej na Węgrzech po 1945 roku. Ponadto w miesięczniku literatury światowej pt. „Nagyvilág” redaguję dział literatury zachodniosłowiańskich. W bieżącym roczniku naszego czasopisma literaturę polską reprezentowali tacy twórcy jak Zbigniew Herbert, Jarosław Iwaszkiewicz, Kornel Filipowicz, czy wreszcie Ewa Lipska. Co się zaś tyczy moich funkcji społecznych: jestem sekretarzem Zespołu Polonistów Węgierskich.

A jak się zaczęły moje kontakty z polską kulturą? Trudno na to odpowiedzieć tak pokrótce. Na uniwersytecie nie kończyłem wydziału filologii polskiej, zanim po raz pierwszy przyjechałem do Polski — było to prawie piętnaście lat temu — nie miałem tu żadnych znajomych i w ogóle nie znałem polskiego. Co mnie ciągnęło żeby ze swoim przyjacielem wyruszyć w wakacyjną podróż auto-stopem? A swoją drogą chciałbym jeszcze kiedyś napisać o tym. Teraz tylko w paru słowach. Nie historyczna przyjaźń pociągała mnie przede wszystkim. W początkach czy nawet w połowie lat sześćdziesiątych wśród naszych studentów panowała moda na podróże do Polski, ponieważ życie kulturalne tego kraju oznaczało dla nas wielką przygodę, wiele słyszeliśmy o klubach studenckich (u nas wtedy jeszcze nie istniały), a auto-stop stanowił dla nas możliwość wędrowki, możliwość włóczęgi trochę w stylu Keruac’a. „Popiół i diament” Andrzeja Ważydy był wówczas czymś rewelacyjnym, po-

BANOWA zapaliła światło. Na dworze było jeszcze widno, ale od czasu jak zbliżył się front, wolała wyprzedzać ciemności. Szczególnie dzisiaj, bo była sama w domu, a na dworze kłębiła się tak gęsta mgła, że prawie zupełnie zniknął plot, stojący o kilka kroków od okna. Zdjęła z półki duży zbiornik na smalec i emalowane garnki. Wsypywała sódę do gotującej się na kuchni wody, gdy nagle ktoś zapukał. Zadrżała. Odsunęła firankę.

Nie, to nie Niemcy! Na progu stała kobieta. Była sama.

— Proszę pani, czy tu mieszka Sándor Ban z żoną?

— Tak, to ja jestem Banowa — odpowiedziała.

Przybyszka była ubrana według bardzo przestarzałej mody. Na zaniedbanych włosach, które właśnie zaczynały siwieć, tkwił filcowy kapelusz w formie garnka. Można było takie zobaczyć jeszcze tylko w filmach sprzed dwudziestu lat. Rączka staromodnej parasolki zakończona była główką papugi, której szklane oczka, jak ziarnka pieprzu nieruchomo patrzyły w obie strony.

— Przyszłam z ogłoszenia.

— Z jakiego ogłoszenia? — zdziwiła się Banowa.

Dawali ogłoszenia, ale tylko wczesną wiosną i późną jesienią, zimą nigdy. Przybyła szybko otworzyła pękniętą torebkę, tak wypełnioną różnymi drobiazgami, przedmiotami i pamiątkami, jak gdyby wszystko zawsze nosiła ze sobą. Zaczęła wypakowywać połówki, przewieszane wstążeczką listy, kieszonkowe kalendarze, fotografie, fiołki po lekarstwach, nieważne bilety kinowe oraz pusty, ale jeszcze pachnący rozpylacz do perfum. Na zdjęciach widniała młoda kobieta w kapeluszu z piórami, to z psem wilczurem, to bez niego. Twarz na niektórych zdjęciach była już zatarta, rogi fotografii zniszczone.

Przy akompaniamencie brzęczenia kluczy, niklowych pieniędzy i różnych innych drobiazgów siwiejąca kobieta znalazła wreszcie pomięte ogłoszenie z gazety, z którego odczytać można było tylko słowa o dużych literach: Sándor Ban ogrodnik — sprzedaje młode drzewka.

— Tak, to nasze — powiedziała Banowa. — Ale męża nie ma w domu.

— Tylko że ja chciałabym tym o piątej odjechać.

— Do tego czasu nie wróci — powiedziała Banowa. — Poszedł do wsi, bo jutro bijemy świnie.

Kobieta rozglądała się bezradnie wkoło tak, jakby opadała z sił. Z bla-

dej twarzy, tak jak ze ściany, na której jest kilka warstw tynku, łuskami opadał puder. Twarz nie zdradzała żadnych uczuć, ale właśnie dlatego było w niej coś z upudrowanej twarzy błazna, gdy płacze bez łez.

Banowa nawet nie знаła cen. Byli małżeństwem dopiero od półtora roku. Mąż bardzo dbał o nią, i tylko przy ładnej pogodzie — gdy szczylił drzewka — zabierał ją ze sobą do szkółki. Pomimo to spytała:

— A czym mogę służyć?

— Chcę kupić jakieś drzewko — powiedziała siwiejąca kobieta.

— Nie mamy drzew ozdobnych —

odparła Banowa. — Tylko sadzonki owocowych.

— Mnie wszystko jedno — powiedziała niezdecydowanym głosem klientka, — Oby tylko było ładne.

— Mamy czteroletnie tuje — powiedziała Banowa.

— Sama nie wiem — powiedziała kobieta, rozglądając się wokoło tak samo niezdecydowanie jak i przedtem.

— Ja chciałabym jakieś takie większe.

— To zwykle załatwia mój mąż — powiedziała gospodyni. — Ale jeśli pani troszkę poczeka, oprowadzę panią.

Wyparzyła garnki, wytarła je czystą ściereczką, a potem wylała wodę na podwórko. Była kobietą młodą, pełną życia, okrągłą, wszystko czyniła płynnymi ruchami z takim wdziękiem, że człowiek nie mógł oderwać od niej oczu. Obca kobieta nie miała odwagi odezwać się, dopóki gospodyni nie wytarła rąk do sucha.

— Pani oczekuje dziecka — dopiero wtedy spytała.

— Tak — powiedziała Banowa.

— Idziemy? — spytała kobieta i zawiesiła sobie na ramieniu parasolkę z panugą.

Było błoto. Szła w pantofelkach na wysokich obcasach, ciągle się potyka-

jąc. Około pięciu minut szły w stronę wzgórza. Młode drzewka majaczyły we mgle jak wykreślone olwki.

— Te wszystkie drzewka to malinówki — pokazała Banowa naokoło. — A te to papierówki, tamte to złote renety, te London Pepin — tłumaczyła, gdy szły dalej. — Tu zaczynają rosnać drzewka brzoskwiń.

Kobieta przystanąła.

— Nie podobają mi się — powiedziała — Myślałam, że to będą większe, bujniejsze, potężniejsze.

— No to proszę, przejdźmy tam — zachęcała Banowa. — Drzewo migdałowe owocuje już w piątym roku.

sadził je tam jeszcze teść Banowej, może dlatego, aby chroniły przed wiatrem, a może tylko po to, aby były tam jakieś drzewa, które odgradzą ich parcelę od parceli sąsiada. Dalej drzewa rosły coraz rzadziej, a na samym grzbiecie stało tylko jedno, samotne.

— To jakie drzewo? — spytała obca kobieta.

— Lipa — odpowiedziała Banowa.

— Ale ma już piętnaście lat.

— Kupię to drzewo

— To? — Banowa zdumiona spojrziała na obcą kobietę. — Może na opał?

— Skądże! — powiedziała kobieta. — Tylko tak.

Jak długo żyje drzewo?

István Örkény

— Dla mnie owoc jest nieważny — smutnie powiedziała siwiejąca kobieta. — Nie mam czasu czekać aż pięć lat.

Przystanąła, szturchnęła parasolem jedno drzewko.

— Mam guza na macicy — powiedziała obojętnie. — Rak.

— Straszne — przeraziła się Banowa. — Nie można operować?

Siwiejąca kobieta rzuciła na nią przenikliwe spojrzenie.

— Na kiedy pani oczekuje? — spytała nagłe.

— Co? — spojrzała na nią Banowa. — Aaa, w marcu.

Kobieta poszła dalej. Dochodziły już do końca parceli, po lekko wznoszącej się ku górze ścieżce. Tylko na kilka kroków przed sobą mogły coś niecoś spostrzec, bo mgła była tak gęsta, jak tkanina dziecięcej pieluszki.

— A to co? — spytała kobieta wskazując parasolką na wierzbę, która rosła akurat na samej między, szeleszcząc kościstymi gałęziami.

— A to nie — powiedziała Banowa. — To tylko takie drzewo.

— Podobna mi się — powiedziała siwiejąca kobieta i potykając się pośpieszyła dalej. Na między rosły różne drzewa: jesiony, brzozy, wierzyby: po-

— Nie rozumiem — powiedziała Banowa. — Tego drzewa nie można już stąd przesadzić gdzie indziej.

— Nie chcę go przesadzać.

— To co z nim będzie?

— Nie — powiedziała siwiejąca kobieta. — Ile kosztuje?

— Tu chce je pani zostawić? — zdziwiła się Banowa — Z czymś takim jeszcze się nie spotkałam.

— Zostanie tu, gdzie stoi — powiedziała siwiejąca kobieta. — Ale jako moje.

Banowa stała bezradnie. Jaka szkoda, że nie ma w domu męża! Patrzyła na drzewo. Nie było zbyt wysokie, ale jego czubek ginał we mgle. Było smukłe, prościutkie, jak zdrowy, muskułarny, ale niezbyt urodziwy młodzieniec.

— Akurat takie chciałam — powiedziała siwiejąca kobieta. — Ile za nie chcecie?

— Takie sprawy załatwia zawsze mąż — powiedziała Banowa. — Ale z tych nie sprzedają jeszcze ani jednego.

— Drugi raz nie przyjadę — rzekła siwiejąca kobieta. — Wszystko jedno ile pani zażąda, zapłacę.

Zapanowała cisza. Była wojna i ten rok był dla nich szczególnie ciężki. Pieniądze bardzo by się przydały.

LITERATURAMI

Csaba Gy. Kiss

wiedziałbym nawet, że był przeżyciem dla całego pokolenia. W Budapeszcie młodzi ludzie także nosili ciemne okulary à la Cybulski. Ta wielka fala podroży do Polski pozostawiła trwałe ślady także w literaturze pięknej: wielu autorów wywodzących się z mojego pokolenia, albo inaczej — należących do niego pisywało wiersze i nowele o tematyce polskiej.

Ale fakt, że w Krakowie udało nam się znaleźć nocleg akurat w akademiku AGH, to już zupełny przypadek. A co ważniejsze, ludzie, których spokaliśmy tam, stali się naszymi serdecznymi przyjaciółmi. Ponieważ szybko okazało się, że nie bardzo sobie radzimy w językach „trzech”, zacząłem się uczyć polskiego. Do dziś jestem wdzięczny swoim przyjaciołom za cierpliwość, jaką wykazali w czasie tych „lekcji”, a także za to, że dzięki nim w trwających do późnej nocy rozmowach poznałem mogłem sprawę „polskiego losu”. Wtedy jadąc do akademika na ul. Gramatyki tramwajami linii 4, 8, 12 i 13 nie wiedziałem jeszcze, że ich krańcówka — Bronowice — ma również związek z jednym z najznakomitszych utworów literatury polskiej, z „Weselem” Wyspiańskiego, ale po wakacyjnej wyprawie po pierwszym roku studiów miałem już jakąś uczuciową motywację. Do dziś bardzo miło wspominałem wieczory spędzone w tym akademiku i cieszy mnie że z ówczesnymi przyjaciółmi utrzymujemy kontakty, niezależnie od tego, że parę razy zmienialiśmy już adresy.

II NATURALNIE w tak krótkiej formie nie mogłbym dać wyczerpującego omówienia młodej literatury węgierskiej. Wolalbym raczej powiedzieć, co stanowiło dla mnie ostatnio najciekawszą lekturę. Muszę jednak dodać, że określenie „młoda” do literatury mojego pokolenia przestaje powoli pasować, bo przecież stuknęła nam już trzydziestka. Niestety generacja ta jest zupełnie nieznaną polskiemu czytelnikowi. A jednak — wymienię tylko kilka nazwisk — poezja takich twórców jak József Utassy, György Petri, Miklós Veress i proza Pétera Nádasza, czy Józsefa Balázsa z pewnością zasługuje na uwagę. Wielu spośród tych pisarzy stworzyło kilka ciekawych eksperymentów w gatunku powieści ze szczególnym uwzględnieniem walorów estetycznych i zawartości myślowej [takim ciekawym, choć konstrukcyjnie niedoskonałym utworem jest powieść Györgya Spiró „Kerengő” („Krużganek”) i Gézy Bereményiego „Legendarium” („Legendy”)]. W dalszym ciągu zgodnie zresztą z tradycją literatury węgierskiej, przeciętny poziom liryki jest wyższy od poziomu prozy. Spośród poetów młodszej generacji na uwagę zasługuje twórczość Gáspára Nagy i Irén Kiss. I niech wolno będzie mi wspomnieć o najświeższej pozycji młodej węgierskiej nowelistyki. Przewidywalnie będzie to najlepszy debiut 1978 roku. Magda Kovács wydała w Bratysławie tom nowel zatytułowanych „En, a csillagbognár” („Ja, gwiazdny bednarz”). Nie,

to nie pomyłka, książka została wydana właśnie w Czechosłowacji. Państwo może nie są na tyle zorientowani, ale literatura węgierskiego obszaru językowego nie różni się od literatury węgierskiej. Wartościowa i ciekawa twórczość literacka żyje i rozwija się na terenie Czechosłowacji, Jugosławii, i Rumunii. Siłą wyrazu nowej Magdy Kovács, oryginalne spojrzenie, mityczna głębia i bezlitosna świadomość rzeczywistości — wszystko to zapewnia autorce czołową pozycję w obrębie młodego pokolenia pisarzy.

III BUDAPESZT i prowincja. Często wydaje się, że są to dwa różne światy. Liczba mieszkańców Miskolca, drugiego co do wielkości miasta na Węgrzech, dopiero niedawno przekroczyła 200 tysięcy. Jednakże w ciągu ostatnich 8—10 lat jesteśmy świadkami dynamicznego wzrostu znaczenia ośrodków prowincjonalnych w literackim i kulturalnym życiu kraju. W ciągu minionych kilku lat publiczność miała możliwość uczęszczania do znakomitych — lepszych niż stołeczne — teatrów w Kaposvár, w Pécs, w Kecskemét i w Szolnok. Prawie wszystkie nasze komitety — jest ich 19 — mają swoje czasopisma i periodyki literackie ukazujące się co miesiąc, co dwa miesiące lub co kwartał. Jednak tylko niektóre z nich mogą odgrywać poważniejszą rolę w życiu literackim całego kraju. Ciekawy koloryt i wysoki poziom charakteryzuje m. in. czasopismo „JELENKOR” ukazujące się w Pécs, „ALFÖLD” wychodzące w Debreczynie, „TISZATAJ” w Segedynie, „FORRAS” w Kecskemét czy wreszcie „NAPIJAINK” wydawane w Miskolcu. Poruszane są w nich nie tylko problemy lokalne, a ich współpracownicy to nie tylko pisarze danego regionu. Redaktorzy tych czasopism poruszają często na ich łamach proble-

my ogólnokrajowe, inspirują liczne dyskusje, wydają numery tematyczne odbijające się później szerokim echem w całym życiu literackim. W ciągu minionych kilku lat niezwykle interesującą była np. seria wywiadów ze współczesnymi pisarzami węgierskimi opublikowana w „JELENKOR”, wschodnioeuropejski (w tym także polski) blok tematyczny na łamach „TISZATAJ” czy chociażby literatura faktu w czasopiśmie „FORRAS” i wiele innych.

IV NASZA działalność edytorska stara się nawiązać do polskiej literatury współczesnej. Tadeusz Nowak, Tadeusz Rózewicz, Miron Białoszewski i Zbigniew Herbert (choć zbiór jego wierszy jest przygotowywany dopiero teraz) cieszą się dużym uznaniem i to nie tylko w kręgach literackich „smakoszów”. Przygotowujemy także do druku takie wartościowe pozycje okresu międzywojennego, które nie doczekały się jeszcze węgierskiego wydania („Niebo w płomieniach” Parandowskiego, „Zazdrość i medycyna” Choromańskiego, „Cudzoziemka” Kuncewiczowej). Nie wspominał tu o kolejnych wydaniach polskich klasyków (niektóre utwory Sienkiewicza, Prusa, Reymonta są u nas prawdziwymi bestsellerami). Myślę, że należałoby poświęcić więcej uwagi popularyzacji wydawanych pozycji. Tak znakomity autor jak np. Bruno Schulz dlatego właśnie nie jest obecny w naszej świadomości literackiej. A przede wszystkim — ponieważ większość naszych historycznych doświadczeń jest identyczna — musimy jak najszerszej zaprezentować u nas przedstawicieli literatury polskiej naszej generacji. Pracę tę już rozpoczęliśmy, a reakcja czytelników inspiruje nas do jej kontynuowania.

Przel. Szczepan Woronowicz

— Sto pengów — powiedziała tak na chybił trafił. — Jeśli nie za dużo.

— W porządku — odparła siwiejąca kobieta.

Jeszcze raz zmierzyła wzrokiem całe drzewo od góry do dołu, po czym parasolka zaczęła nakłuwać ziemię naokoło pnia. Potem ruszyła w stronę domu. Po raz drugi wypakowała wszystko z torby, i położyła setkę na kuchennym stole.

— Chcę, abyście na nie uważali — rzekła.

— Nie trzeba na nie uważać — powiedziała Banowa.

— Za to też zapłacę — powiedziała kobieta.

— Za to nic się nie należy — odparła Banowa.

— Nawoście też — powiedziała siwiejąca kobieta. — Czy wystarczy na to dwadzieścia pengów za rok?

— Proszę nie płacić — powiedziała Banowa. — Temu drzewu nic się nie stanie.

Obca kobieta jeszcze raz wypakowała wszystko z torbki i odliczyła na stole sześć dziesięciopengowych monet.

— Zapłacę za pielęgnację drzewa przez trzy lata — powiedziała, ale niech mi pani przyrzeknie, że będzie się nim dobrze opiekować.

Banowa zakaszła.

— Przyrzekam — powiedziała zachrypniętym głosem.

Siwiejąca kobieta wzięła do ręki lusterko i brudnym puszką popudrowała swą twarz. Zmierzyła wzrokiem Banową.

— Rusza się już?

Banowa znów zakaszła.

— Już tak.

Kobieta ruszyła ku drzwiom, ale obróciła się jeszcze.

— Jak długo żyje drzewo lipowe? — spytała.

— Długo — powiedziała Banowa.

— Ale ile? — pytała siwiejąca kobieta. — Sto lat też?

— Nawet i więcej.

Siwiejąca kobieta kiwnęła głową. Zawiesiła parasolkę na ramieniu i wyszła.

— A podlewajcie też! — powiedziała surowo. W drzwiach jeszcze raz spojrzęła na Banową.

— Do widzenia — powiedziała, ale nie wyciągnęła ręki na pożegnanie i nie spojrzęła już następny raz. Parasolka stuknęła głośno o płyty chodnika.

Banowa stała jakiś czas, potem schowała pieniądze. Krążyły pogłoski, że cofające się oddziały niemieckie rekrutują wszystkie żyjące zwierzęta. Zabrała się do pracy. Czynności swe wykonywała lekko i z wdziękiem, wydawało się, że bez zmęczenia. Tak jak tancerka, która porusza się w takt niesłyszalnej muzyki.

Przel. Krystyna B. Kotela

Lajos Papp

TRZYNAŚCIE NAZWISK MIASTA

Może był ktoś, kto do końca patrzył w inną stronę.

... wiszą z wykręconymi sztykami, leżą z pociskami w piersiach. Władza w czarno-żółtych zmieniona milczących poległych. Wokół nich mury bagnatów,

tchórzliwości czarno-biała stoła, zwątpienia czarna księga, upokorzenia żółto postawiony krzyż, wiarołomstwo leż. ... — kolumny, haki, kolumna i Haynau czarno-żółci polegli, z wykręconymi sztykami,

z pociskami w piersiach; dwucyfrowa liczba. Może był ktoś, kto do końca patrzył w inną stronę.

... na samym końcu był Vecsey. Przed nim Damjanich, Leiningen-Westerburg, Knežich i Aulich i Pöntenberg, który wszczął i warkot bębnow; Pöntenberg był pierwszy. ... ucałował pozostających. Spojrzął na niebo, na chmury, ptaka... Vecsey już z nikim ucałować się nie

miał.

Aulich Lajos
Damjanich Janos
Dessewffy Arystyd
Kiss Ernő
Knežich Karol
Lahner György
Lazar Vilmos
Leiningen-Westerburg Karol
Nagy Sandor József
Pöntenberg Ernő
Schweidel József
Török Ignacy
Vecsey Karol,

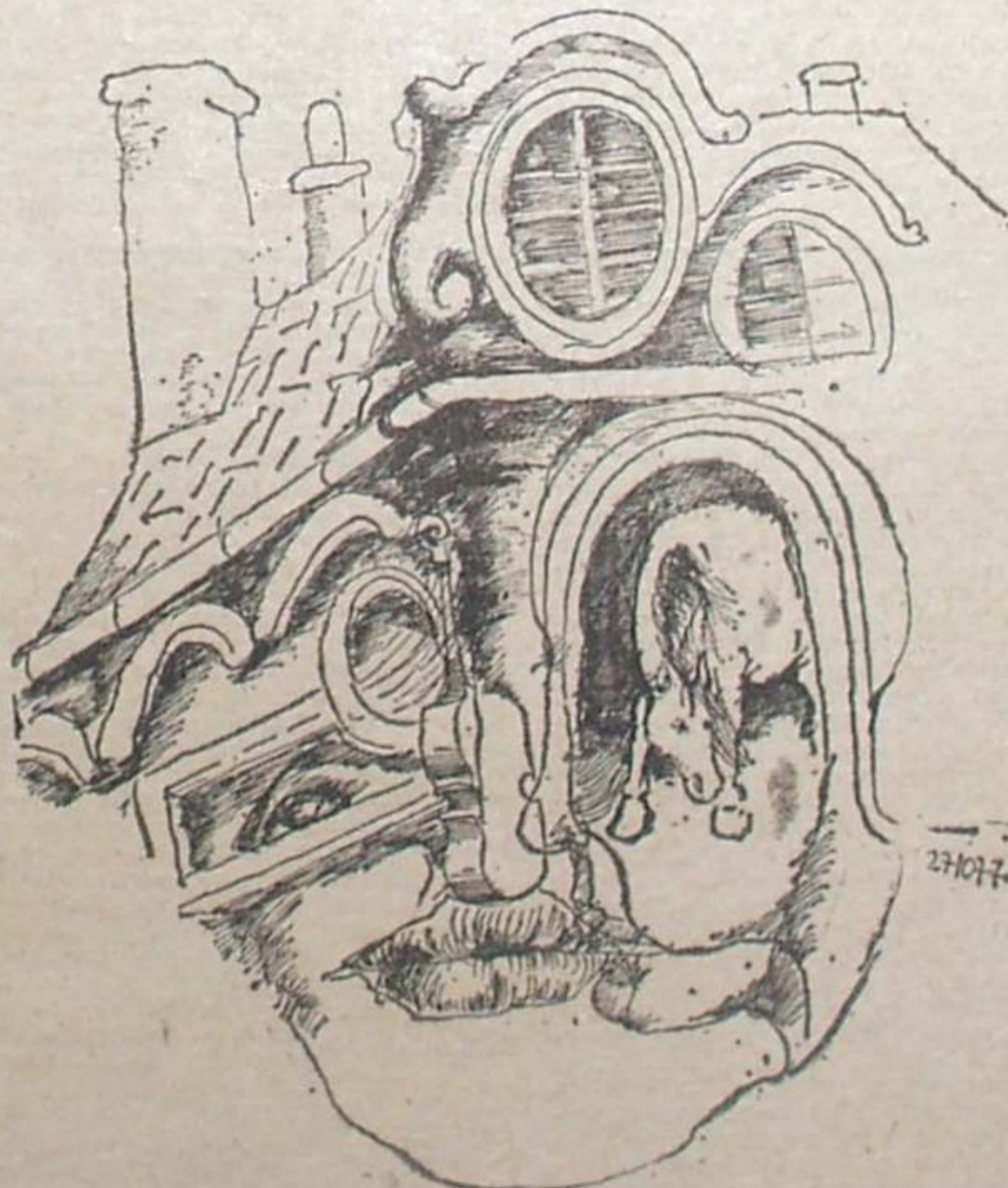
Może był ktoś, kto do końca patrzył w inną stronę.

Trzydzieści nazwisk jeszcze można; sto trzydzieści nie bardzo, lecz o trzech tysiącach trzystu, o trzynastu tysiącach, o stu trzydziestu tysiącach zapomnieliśmy. Takie nazwę miasta, na którego murach-szańcach nie ma marmurowych tablic. Na ich miejscach jedynie doły. Może nowsze groby, dla dnia jutrzejszego bez znaczenia — będą jak groby tych trzynastu o nazwiskach ku upamiętnieniu.

Przel. Paweł Gembał

W dniu 8 grudnia 1919 roku w Aradzie rozstrzelano 13 generałów i pułkowników węgierskich, przywódców powstania narodowego stłumionego przez armie austriacką i rosyjską (przyp. tłumacza).

Rys. K. Koczwski



Sándor Weöres

PRZECIWIENSTWA

Zawsze tylko to jest co jest.
Zawsze tylko tego nie ma czego nie ma.
Zawsze tylko tego nie ma co jest.
Zawsze tylko to jest czego nie ma.

Co jest, to stale zmiennie.
Czego nie ma, stale jest to samo.
Czego nie ma, stale jest zmiennie.
Co jest, stale to samo.

Nieruchome nie poruszy się.
Niespokojne nie spocznie.
Nieruchome też poruszy się.
Niespokojne też spocznie.

Kto żyje, w życiu żyje.
Kto umarł, nie żyje już nigdy.
Kto żyje, w śmierci żyje.
Kto umarł, nie umrze już nigdy.

Jeśli nie rozumiesz: lepiej uważaj.
Jeśli rozumiesz: cicho idź dalej.
Jeśli rozumiesz: więcej nie uważaj.
Jeśli nie rozumiesz: zostaw i idź dalej.

Przel. Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

Frigyes Karinthy (1887-1938)

STRUGGLE FOR LIFE

Zgodnie z Pozycją i Ustawą,
Bracie, zostałeś, zda mi się,
W tyle - już czeka na twe ścierwo
Hiena i głodny krąży ręp.

Nawet nie wilki cię rozdarły,
Zwierzętko małe stadem złym -
I kózka podzieli się twą skórą?
Szakal? Czy wróbel? Mniejsza z tym.

Gdy trzeba była walnąć, zawsze
W pół drogi impet pięści st. j! -
Przez dobroć? Słabość? Nie pojmuje.
Strach? Pychę? Nie wiem. Może wstydy.

Wstręt może tylko. Tak też dob. rz.
Spokojny jestem. Amen. Cześć.
Niech raczej mnie robaki zjedzą,
Niżeli miałbym ja je zjeść.

Przel. Bohdan Zadura

Dániel Berzsenyi (1776-1836)

HORACY

Znów huczy Boreasz ponad Kemenesem
I chmura posepna blask słońca przesłania,
Patrz! Sagu niknie szczyt w zamieci i wszystko
Na smutne zległo zimowanie.

Posłuchaj, co śpiewa Flacca lutnia złota:
Roznieć żywy ogień i winę lej z dzbaną,
Niech łśni na twej skroni wonny balsam, który
Palilo słońce Bengolu.

Korzystaj z dni, kiedy jesteś obecni,
Miej serce gorące, łagodnej miłości
Drogi nie zamykaj gdy lat twoich młodych
Jaśnieje gwiazda szczęśliwa.

Nie martw się o jutro snów nie inij wysokich,
Żyj mądrze, pogodnie, ciesz się - pokąd można.
Nim powiemy słowa, czas uleci szybko,
Jak strzala lub rwąc, potok.

Przel. Bohdan Zadura

TLUMACZEM poezji węgierskiej zostałem z wyboru - wyboru Gracji Kerényi, która proponowała mi udział w pracach nad Antologią poezji węgierskiej. Tłumaczyłem trochę z rosyjskiego i angielskiego, ale z węgierskiego? Nie znając ani jednego słowa w tym języku? I wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z pojęciem rybki, którą to rybka nazywany bywa w żargonie tłumaczy przekład filologiczny, więc przekład wierny, dosłowny, tyle że odarty z wszelkiej piękności formalnych, bezkształtny, niejasny. I choć brzmi to jak paradoks, najtrudniejszym może zadaniem spośród tych, jakie ma do wykonania tłumacz z rybki, jest rybki tej zrozumienie. Paradoks następny polega zaś na tym, że im rybka gorsza, tym lepsza. Tym lepsza, im bardziej bezkształtna, bardziej chropawa - bardziej magmowata. Ta jej magmowatość aktywizuje tłumacza, zmusza go do przebadania wszystkich układów, wszystkich obwodów znaczeniowych tłumaczonego wiersza, tych widocznych i tych ukrytych, na których ślad naprowadzają ciemne lub zgrzytające miejsca przekładu filologicznego. Rybka poprawna językowo, uładzona nie działa już tak mobilizująco. Jeśli jest gładka, jest już interpretacją, świadczy o tym, że coś już na rzecz czegoś zostało poświęcone. A co? Bez bezpośredniego dostępu do oryginału - nie wiadomo. Poruszanie się po owym świecie chaosu, tropienie zależności i napięć, reguł, jakie skrywa, stosunków między poszczególnymi elementami bywa przygodą pasjonującą. Z tego chaosu wywodzi się wiersz, z tego chaosu tłumacz go re- kreuje. Gdy zrozumiał przekład filologiczny - reszta jest już stosunkowo prosta, reszta to

rzecz można rzemiosło, chociaż, jak powiadają, najszlachetniejsze z rzemiosł. Reszta jest sprawą sprawności, techniki werbalnej. Siatka rymów, metrum, wszystkie parametry formalne - to dobra rybka zawiera. Są zresztą płyty z nagraniem wierszy (choćby długogrająca płyta z utworami Andre Adyego, nagrana przez wybitnego węgierskiego aktora Zoltana Latinovitsa, w którą wsłuchiwałem się tłumaczac nie-

łatwiej tu o kryteria niż w przypadku twórczości oryginalnej, bardziej wymierna to sfera. W ostateczności, myślę, sztuka przekładu jest w jakiejś mierze sztuką czytania poezji. Jeśli przekład jest uczciwy, to wiadomo, że wiersz został przeczytany, że tłumacz (on byłby idealnym czytelnikiem?), gdy tłumaczenie nie jest kongenialne, mądrzejszy jest od przekładu, tyle że to, o co jest mądrzejszy nie jest dlań po-

dzi? Napisałem na wstępie, że węgierską poezję zacząłem tłumaczyć z cudzego wyboru. To połowa prawdy. Tylko że sympatia, ta historyczna, przysłowiowa - bo Bem, bo Wiosna Ludów, bo wcześniej jeszcze królowie, a później 1939 rok, i to, że ile razy zbłądziłem w węgierskim mieście jadąc samochodem, tyle razy ktoś nieznamy, z którym porozumieć się można było na migi, przychodził z pomocą, nie czekając, aż się go o to poprosi - tylko że to wszystko nie zmienia faktu, że gdy robilem z rybek pierwsze przekłady węgierskich wierszy, nie o tej poezji nie wiedziałem. I nie byłem, myślę, tak bardzo odosobniony. I choć moje odkrywanie Węgier trochę inaczej przebiegało niż to odkrywanie, którego efektem są obecne węgierskie „Zróżdła”, cieszę się z tych „Zróżdła”, w jakiejś mierze bowiem skromniejszej niż „Antologia” niż węgierskie numery „Literatury na świecie”, niż tom Adyego, przyczyniają się jednak do tego, byśmy odrobinię więcej o sobie wiedzieli. Przyjać polską literaturę i polską poezję ma w Budapeszcie wielu: Gracja Kerényi, Romana Gimes István Kovacs, Csaba Gy Kiss, György Spiro. Zabrakło rok temu László Nagya. Ma poezja polska przyjać wśród kolonii węgierskiej w Warszawie, w Instytucie Kultury Węgierskiej, który w grudniu obchodził 30 rocznicę swego istnienia, a jego dyrektor Daniel Hegedi życzliwy jest tłumaczom. Myślę, że jeśli z przekładów wynika i to, że w obym mieście ma się bliskich sobie ludzi, to bardzo wiele. A swoją drogą jeśli chodzi o popularyzację własnej literatury, kultury w ogóle, wiele od naszych węgierskich przyjać mogliśmy się nauczyć. Ale to już odrębny temat.

Czy tylko sympatia?

Bohdan Zadura

które wiersze), taśmy magnetofonowe, w ostateczności znając parę tylko podstawowych reguł języka można sobie samemu policzyć sylaby i akcenty. Praw rządzących sztuką przekładu poetyckiego można by wylczyć więcej, nie tylko do przekładów z tłumaczeń filologicznych się odnoszących, praw po części psychologicznych. Jedno z nich nazwać by można prawem rezonansu - trudno dobrze tłumaczyć poezję w klimacie czy światopoglądzie obcym, w takim wypadku trudno mówić o re- kreacji. Inne prawo to prawo opłacalności, czy - aby nie miało zbyt fiskalnego wydźwięku - prawo motywacji. Przełożenie dość łatwego, ale słabego wiersza wbrew pozorom dużo większego wymaga wysiłku, niż przełożenie utworu najeżonego trudnościami, lecz znakomitego. Myślę bowiem, że dla poety przekład może być próbą sprawdzenia, potwierdzenia się,

wodem do dumy lecz do pokory, bo mądrzejszy jest o to, dla czego nie mógł znaleźć ekwiwalentu, z czego musiał zrezygnować. Wszystkie te prawa sformułowałem na własny użytek, nie zajmując się nigdy teorią przekładu i nie przypuszczam, aby były odkrywcze. Z własnych doświadczeń dodać jeszcze mogę, że bywa przekład dla poety szansą inspiracji, choć sądzę, że jeśli tu wchodzi w grę jakieś prawo, to jest to prawo przypadku. Taka przygoda spotkała mnie, gdy tłumaczyłem kilka wierszy Dániela Berzsenyiego. Myślę, że mógłbym dziesiątki razy czytać Horacego i nie odkryłbym, że ten typ wiersza może być mi pomocny do wyrażenia pewnych własnych i współczesnych problemów, a praca nad Berzsenyem nieoczekiwanie mi to uświadomiła. Cóż by znaczyło zdanie, że literatura zbliża narody, gdyby nie zbliżała lu-

Dwa bratanki

WIELE razy zdarzało mi się styścić, jak zagraniczny wykonawca estradowy dziękował publiczności za owację w jej narodowym języku. Dwa, trzy słowa wydrukane z trudem, które zapomniał po zdjęciu garnituru, ale słowa, za które otrzymał brawa większe niż za sam występ. Wzory z estrady przenikają szybciej niż nam się wydaje i zapobiec chyba temu nie sposób. Stajesz na węgierskiej ziemi i z miną osobnika umacniającego przyjać polsko-węgierską odczytujesz z rozmówek „jó regelt kiwanok”. Gospodarz kwatery, u którego spędzisz dwie najbliższe noce, chyba zrozumiał, bo uśmiecha się i spoglądając znad skierowania „Ibuszu” odpowiada: „Lato”. Ostupienie mija, gdy gesty zastąpią słowa. Bo oto Węgier mimo zaawansowanego wieku wykonuje niczym rasowy piłkarz energiczny ruch nogą. I jest zadowolony z siebie. Bez nazwiska piłkarza jego wiedza o Polsce nie byłaby tak gruntowna i kompletna. Właśnie Lato przypadł mu do gustu,

a nie, dajmy na to, Hanuszkiewicz. Z pewnością podobają mu się dziewczyny z Polski, chociaż może nie wie, kto to była Emilia Plater, a nazwiska Chojnowskiej-Liskiewicz czy Rutkiewicz wylecą mu z pamięci. W krajowej prasie moda na polonica. Polskiego czytelnika interesuje, gdzie jego rodak kogoś spotkał, z kim wypił szklaneczkę wina. Bo do wypitki jesteśmy skłonni, jak rzadko kto i na dobrych winach szybko się poznamy. Wszak to my byliśmy pierwzymi importerami tokaju zwanego wtedy przed wiekami węgrynem. Od wieków czuliśmy do siebie wzajemnie sympatię i potrzebę handlu. Do dziś dnia wyciągamy do siebie ręce. Z jednej strony ręce złotych łańcuszków i wełnianych swetrów; bursztynów, szlafroków i ręczników frote - z drugiej. Te ręce wyciągane są wiele razy, bo obok spoczywają wypchane bagaże. I nie opuszcza nas myśl o przyjaćni narodów. To nam przekazano i to przekażemy młodszemu. Skąd się sympatia bierze? Mielśmy kiedyś wspólnych władców, dziś wspólnie spędzony sylwester w Budapeszcie. Ale z tego nie da się wyciągnąć wniosku, jeśli uwzględni się, że tej sympatii mamy mniej do narodów, których przedstawiciele także paradowali w polskiej koronie. Swojego czasu Polak zarządzał Madagaskarem, a o ile mi wiadomo, nie ma w kraju ani jednego towarzystwa przyjaćni polsko-malgańskiej. I cóż z tego, że od czasów nad Balatonem atrakcyjniejszy jest wy-

jazd na Wyspy Kanaryjskie? Przecież nie każdego stać na taką ekspedycję. Węgry są niejako w zasięgu ręki, polskiego fiata i historii. O Bemie piszę tylko dlatego, iż portret w Muzeum Wojskowym nie przypomina naszym podobizn popularyzowanych w podręcznikach historii, na znaczkach pocztowych czy w encyklopedii. Na Węgrzech podczas ostatniej wojny były obozy internowanych polskich żołnierzy, do Budapesztu przekradali się polscy kurierzy. Spłatały się nasze losy. Wydało się to tak naturalne, iż nie ma potrzeby wracać do tych faktów, tym bardziej, że kontakty obecne są niezwykle żywe. Kilka miesięcy temu byłem w grupie pisarzy podejmowanych przez węgierskich przyjać. Grupa była liczna, zainteresowania różne. Kogoś pasjonowały pogadanki o dobrym zachowaniu i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby autor tych dykteryjek nie zdrzemnął się na przyjęciu. Być może chciał rozbać towarzystwo, bo przyjęcie było nieoficjalne. Pito palinkę. Rozmawiano niezobowiązująco. Nikt nie wiedział, kto tu jest pisarzem dobrym, kto tłumaczem. Gdyby wypito więcej, może ktoś odważyłby się zawołać: jestem tu pisarzem najwybitniejszym! Ilu by mu uwierzyło? Ilu by go zrozumiało? Opuszczałem miejsce z Ryszardem Jegorowem, który niósł teczkę pełną swoich powieści po węgiersku, a w zamyśle pomysł na dzieło o miłości Węgierki i Polaka. Miłości nie wymy-

ślonej, prawdziwej. Takiej, o której, gdy mówisz po latach, to serce skowycze, głos się łamie i trzeba wykonać jakiś niedbały ruch ręką, by rozmówca nie zauważył wzruszenia, albo plakać i nie wstydzic się tych łez. Temat stosunków polsko-węgierskich jest popularny. Mocno zaowocował w literaturze. I jeszcze napisać można dużo. I ciekawie. Niekoniecznie o miłości, choć to temat również nie do wyczerpania.

Zbigniew Wł. Fronczek



Kolumny zredagowali: Zbigniew W. Fronczek, Bogusław Wróblewski, Stanisław Żurek. Adres dla korespondentów: 30-078 Lublin, ul. 1 Armii Wojska Polskiego 5. Komisja Kultury ZW ZSMP.

NA SCIEŻKACH POLSKICH KOMANDOSÓW (VI)

POD koniec 1943 r. front włoski ustalił się na linii rzek Garigliano, Rapido oraz Sangro przecinających w poprzek Półwysp Apeniński. Stanowiły one zarazem przednią granicę tzw. „zimowej linii” — Winterstellung, rozbudowanej w ostatnim czasie przez wojska feldmarszałka Kesselringa i zamykającej dostęp z południowych Włoch do Rzymu.

„Zimowa linia” miała 200 km długości. Przebiegała w największej części Półwyspu, od Minturno nad Morzem Tyrreńskim do Ortony nad Adriatykiem. Kluczową pozycję w tym systemie umocnień zajmowało wzgórze klasztorne Monte Cassino ryglujące drogę biegnącą doliną rzeki Liri ku Rzymowi. Stały więc naprzeciw siebie dwie grupy armii: aliancka 15 Grupa Armii pod dowództwem brytyjskiego generała H. Aleksandra i niemiecka Grupa Armii „C” feldmarszałka A. Kesselringa. Niemcy zajmowali niezwykle dogodną pozycję: obsadzili południowe stoki kończących się tutaj właśnie Apeninów Środkowych, najwyższych gór na półwyspie. Ich umocnionych pozycji broniły też dzikie tereny Abruzzów rozciągających się na północ od rzeki Sangro. Tutaj kraj był przedzielony szeregiem trudno dostępnych masywów górskich i dolinami rzek płynących z zachodu na wschód, co krok spotykało się zapadiska, leje i pieczary krasowe — przeszkody wyłobione w ciągu wieków przez podziemne wody w miękkiej skale. W takiej okolicy można było bez trudu urządzać najwymyślniejsze zasadzki lub budować bunkry i umocnienia prawie niemożliwe do zdobycia. Lasów, dających schronienie penetrującym te okolice oddziałom było niewiele. Kamieniste zbocza gór były co najwyżej porośnięte wieczną zieloną krzewiastą roślinnością; tubylicy nazywali jedne z tych krzewów „makka”, inne „gariga”. Pnący się wzwyż za rzeką Sangro górski masyw Mafella, wleńczył w oddali szczyt Monte Amaro — 2795 m. Właśnie u wrót owej górskiej krainy, na styku 5 Armii amerykańskiej oraz 8 Armii brytyjskiej zalegającej u wybrzeży Adriatyku, stała 78 dywizja brytyjska generała majora C. A. Keightleya wslawiona walkami na Sycylii i zwana popularnie „toporem bojowym”. Jako że jej żołnierze nosili na rękawach znak topora.

Na froncie panował zastój, ale właśnie w Abruzzach, nad Sangro, aktywnie operowały zwiadowe patroly zarówno alianckie jak i niemieckie rozpoznając teren oraz przeciwnika. Tutaj trzeba było dysponować wyjątkowymi sprawnościami wojskowymi i kondycją fizyczną. Nie więc dziwnego, że właśnie pod rozkazami generała Keightleya wysłał Tom Churchill, dowódca 2 Special Service Brigade, polskich i belgijskich komandosów dla odbicia frontowego „stażu”.

Polska Samodzielna Kompania Komandosów wyruszyła na pierwsze w swej historii zadanie bojowe 12 grudnia 1943 r. Z bazy w Molletta nad Adriatykiem jechali ciężarówkami przez moknące w deszczu, zapchane wojskiem drogi Italii, poprzez Foggia, Jelsi, Lucera, Vichniaturo. Pozostawili za sobą nadmorskie równiny, drogi stawały się coraz gorsze, coraz bardziej strome i kręte, wznosząc się i opadając na obszarach Apeninu Neapolitańskiego. Pod wieczór dotarli do Boiano, gdzie czekał ich nocleg. Ale już o 9 rano następnego dnia ciężarówki znowu powiozły komandosów dalej, w pustynię górskich szczytów i dolin. Tylko gdzieniegdzie pokazała się grupa zrujnowanych samotnych domków na zboczu wzgórze, zbombardowana wioska; rzadko kiedy w oknie domu zamajaczyła twarz ludzka. Po wielu godzinach uciążliwej jazdy osiągnęli punkt docelowy: górskie miasteczko Capracotta.

Dziwnie szare i ponure jest popołudnie 13 grudnia 1943, gdy ciężkie wozy antaczają się wolno, mieląc kołami gęste błoto, w ruiny miasteczka Capracotta. Pojedynczo przechodzący do wyznaczonego na kwatery miejsca. Względnie cało zachowany budynek zajmowany jest z ostrożnością, z przeciwnego bowiem zbocza doliny nieprzyjaciel ma dobrą obserwację na całe miasteczko. Gdzieś na prawo i lewo od nas dochodzi głuche pomrukiwanie armat, nasz odcinek tonie w zupełnej ciszy — będzie wspominał później ten dzień jeden z oficerów kompanii.

Capracotta leży na wysokości 1407 m nad poziomem morza. Otwiera się stąd szeroki widok na zbocza górskie otaczające dolinę płynącą daleko w jej głębi Sangro. Wzdłuż krętych brzegów rzeki biegnie polyskująca stała linia kolejki wąskotorowej łączącej ukrytą na zachodzie za górami miejscowość Castel di Sangro z usadowionym bliżej pobraża Adriatyku miasteczkiem Atezza. Linia kolejowa jest od wielu tygodni martwa; tory zostały w kilku miejscach wysadzone w powietrze przez wycofujących się Niemców. Tak samo zresztą, jak wszystkie mostki i górskie przejazdy dróg po obu stronach doliny. Opadające ku rzece stoki górskie porośnięte są plataniną stromych wąwozów, skalnych uskoków, piarżystych zwałisk. Poruszanie się w terenie utrudniają jeszcze kamienne murki układane przez tutejszych mieszkańców z odłamów skalnych wokół ich nędznych poletek.

Nad brzegami rzeki rozłożyły się zrujnowane teraz osady i wioski. Najdalej ku południowemu zachodowi widać miasteczko Ateletta i wznoszące się nad nim domki San Eramo. To już „niemiecka” strona doliny. Po stronie „angielskiej” leży wioska Castel del Giudice, na północny wschód od niej San Angelo del Pesco, jeszcze dalej — spoglądające na siebie przez rzekę wsie Borello

i Quadri. Wreszcie, najdalej na prawo, miejscowość Villa S. Maria. Wszystkie te miejscowości rozciągają się wzdłuż dwudziestokilometrowego odcinka Sangro. Jest to zarazem odcinek frontu zajmowany przez brytyjski 56 Pułk Rozpoznawczy (56 Recce Rgt.) wchodzący w skład 78 Dywizji generała Keightleya.

Belgijska kompania komandosów otrzymała przydział na odcinek sąsiedni; stanęła na kwaterach w San Pietro, z którego domów Niemcy nie pozostawili prawie kamienia na kamieniu. Polacy wchodzą w Capracotta pod bezpośrednie rozkazy majora Gooda, dowódcy 56 pułku, który tutaj właśnie założył swoją główną kwaterę. Dowództwo artylerii spoczywa w rękach majora Coastwortha.

Ledwie chłopcy w zielonych beretach zrzucili sprzęt z ciężarówek, ledwie rozejrzeli się po przydzielonych kwaterach, dochodził ich wiadomość: „Dzisiaj wieczorem wyruszy pierwszy patrol na rozpoznanie terenu”. Mimo ogarniającego zmęczenia po ciężkiej, dwudniowej podróży, każdy z nich chciałby dostąpić zaszczytu znalezienia się w tej niewielkiej grupie, która oto wkrótce roztopi się cicho w mroku nocy, przesuwaną się niepostrzeżenie w kierunku dna doliny. W stronę owego widzianego w dzień z góry „no-mans'-landu”, gdzie

nieliczna pozostała przy życiu ludność żyje w piwnicach zburzonych domów i skąd tylko od czasu do czasu da się słyszeć w ciemnościach słuchany odgłos krótkiej, zażartej walki między dwoma nieprzyjacielskimi patrolami. W przyszłości nasi komandosi obiorą właśnie 13 grudnia, datę wyruszenia pierwszego patrolu nad rzekę Sangro, dniem święta kompanijnego.

O godzinie 18 patrol jest gotowy do wymarszu. Prowadzi sam „Wódz”, kpt. Władysław Smrokowski. Za nim idzie dowódca pierwszego plutonu por. Czyński, dowódca plutonu dowodzenia por. Zajackowski, plutonowi Wilkosz i Gorajski, kaprale Woźniak i Bano, kapral Kusiak, strzelec Klajber i Brauliński. Anton Banko jest Jugosłowianinem. Potrafi porozumiewać się w języku włoskim i z tego względu jest niezwykle przydatny w oddziale. Został przydzielony do kompanii 10 grudnia, wraz z innym swoim rodakiem, Franzem Trebizonem, ze starszym strzelcem Allanem Marshallim oraz szeregowym Jamesem Michaeliem Mertonem. Ci dwaj ostatni są z „trzeciego plutonu” czyli „kompanii mieszanej” 10 Inter Allied Commando, mówią doskonale po niemiecku i nie wiadomo, czy są autentycznymi Brytyjczykami, czy też niemieckimi antyfaszystami, którzy przybrali angielskie nazwiska.

W Samodzielnej Kompanii przebywa również od jej wyładowania w Italii rotmistrz Andrzej Bohomolec, jako oficer łącznikowy do dowództwa brytyjskiego. Kilka miesięcy wcześniej, podczas wizyty Naczelnego Wodza w Eastbourne, towarzyszył gen. Sosnkowskiemu przy przeglądzie oddziału. Teraz rozkaz zwiadał go z komandosami bezpośrednio. Rotmistrz Bohomolec ma wszelkie dane na komandosa: ulan krechowicki, był przed wojną znanym sportowcem, poza hippiką pasjonował się żeglarstwem. To on jest bohaterem słynnego rejsu polskiego jachtu „Dal” przez Atlantyk. Ciężko ranny w kampanii libijskiej, po dojściu do zdrowia szukał przydziału odpowiedniego dla swej odwagi i fantazji. Kawaler orderu Virtuti Militari, po wojnie osiadł na stałe w Kanadzie na własnym rancho, a w 1960 r. brytyjska królowa Elżbieta II nada mu tytuł honorowego podpułkownika kanadyjskiego 19 Pułku Dragonów z Alberta.

Ale wracamy do pierwszego patrolu. O zmroku wychodzimy żegnani uśmiechami i cichym „good luck” tych, co zostają — wspomina Maciej Drzewica. — Stromym, błotnistym stokiem wchodzimy w głąb jaru, w którym szumi niewielki potok. Po glazach i kamieniach idziemy dalej w dół. Zachowując jak największą ciszę przelazimy przez powalone pnie drzew, zsuwamy się z urwistych brzegów strumienia. Przedzieramy się przez gęste krzaki lub chyłkiem przemykamy się przez otwarte polany. Przypominają się mimo woli ówczesne z Walii czy Achnacarry. [...] Przed nami majaczą w mroku zarysy miejscowości. To Castel del Giudice. Z zachowaniem największej ostrożności podczołgujemy się wśród zwałisk wysadzonego mostu do pierwszej z brzegu chaty. Cisza nie zdradza niczyjej obecności. Ktoś z nas kocim ruchem dostaje się do wnętrza. Zbudzony i przerażony Włoch zeznaje, że żadnego patrolu niemieckiego dziś we wsi nie było. [...] Stromym terenem wchodzimy nad sam brzeg rzeki Sangro. Woda huczy i pieni się między glazami, gdzieniegdzie tylko łagodniejsze miejsca zdradzają możliwość brodu. [...] Wracamy. Księżyc wyszedł zza chmur rozogniony górskim wiatrem. Hen, wysoko u stóp skalnej turni drzemie Capracotta. [...] Droga, która wzięła w dół, przeraża nas koniecznością marszu w górę. Długie, długie godziny pniemy się bezdrożami i wyrwami. Odpoczniki stają się coraz

częstsze i coraz dłuższe. [...] Wreszcie schodzimy w miary miasteczka. Oświetlone księżycem ruiny robią niezamowite wrażenie. [...] Za górami niebo jaśnieje zorzą wschodzącego słońca.”

Pierwszy patrol zakończony. Jest 14 grudnia 1943 r., godzina 3 rano. Kapitan Smrokowski zdaje szczegółowy raport dowódcy odcinka. Zadanie zostało wykonane planowo, nieprzyjaciela nie napotkano. Żołnierze sprawiali się dobrze. Major Good kiwa głową z uznaniem: Tak, słyszał już nie jeden raz, jak Polacy potrafili walczyć, jak pełni są poświęcenia. Z przebiegu patrolu jest zadowolony. Ale należy pamiętać, że był on tylko niewinnym spacerkiem, tylko preludium do zwiadowczych akcji, jakie czekają tutaj polskich komandosów. Taaak... zbliża się rano, śniadanie, więc nie ma po co kłaść się spać. Pomówimy zatem o dzisiejszych zadaniach kompanii i o następnym patrolu. Pluton drugi pod dowództwem por. Stefana Zalewskiego wyruszy do wioski Pescopennataro i zakwateruje się w jednym z ocalałych budynków. To trochę daleko i na odludziu, Pescopennataro jest najdalej wysuniętym punktem odcinka w stronę pozycji niemieckich, ale stoi tam już jeden z plutonów 56 Pułku, jest obserwator artyleryjski kpt. Wood ze swoimi ludźmi, więc pańscy ludzie, captain Smrokowski, nie będą się czuli osamotnieni. Well... Aha, jeszcze jedna sprawa: wszystkie mosty na drodze do Pescopennataro są zniszczone. Pluton pójdzie o, tedy: ciężka dla mułów, pomiędzy Monte il Campo (1745 m nrm.) i Monte S. Luca (1575 m). To nie jest aż tak trudna droga jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Zresztą ciężki bagaż poniosą muły, a one

DZIENNIKI BOJOWE ZNAD SANGRO

Mirosław Derecki

znają ścieżkę doskonale. No i — ha, ha, ha — Pescopennataro leży o całych trzysta metrów niżej niż Capracotta.

Kapitan Smrokowski proponuje, żeby z drugim plutonem poszedł jego zastępca, rtm. Wołoszowski. Będzie dowódcą tamtejszego odcinka. „Captain Wołoszowski? All right. Zgoda. Wołoszowski — what a name! A teraz rzecz następną: proszę przygotować ludzi do wyruszenia na patrol w dniu jutrzejszym. Cel: rozpoznanie przepraw na rzece Sangro w rejonie miasteczka Ateletta, zebranie wiadomości od ludności cywilnej, obejście Ateletty, rozpoznanie S. Framo i domów na południe od tej miejscowości. To tyle na dzisiaj, thank you captain!”

O godz. 10.30 drugi pluton jest już gotów do wyruszenia w drogę. Stan plutonu: rotmistrz Wołoszowski+31. Wśród żołnierzy maszeruje Jugosłowianin, strzelec Franz Trebizon oraz starszy strzelec Allan Marshall. Kiedy zajdzie potrzeba, dogadają się i z Włochami i z ewentualnymi jeńcami niemieckimi.

Po dwóch godzinach ciężkiej drogi pluton jest na miejscu. Porucznik Zalewski notuje w dzienniku bojowym: (Pescopennataro) Mała wioska góralska jest kompletnie zniszczona. Niemcy wycofując się powysadzili w powietrze wszystkie budynki, pozostawiając trzy domy, których mury są także popękane. Na miejscu zastajemy jeden pluton angielski z 56-go Pułku. [...] Pluton jest zakwaterowany w dniu przyległych do siebie domach, częściowo zamieszkałych przez cywilną ludność włoską. Nastawienie ludności włoskiej do nas — obojętne. Ludność jest wyleknięta i podejrziwa.”

Z chwilą wyruszenia Samodzielnej Kompanii z Eastbourne na front została zamknięta kronika kompanijna. Prowadzono teraz „Dziennik bojowy Samodzielnej Kompanii Commando”. Poza tym każdy z plutonów musiał prowadzić swój własny dziennik bojowy, bardzo dokładny, zawierający notatki czyniczne przez dowódcę plutonu pod koniec dnia, według ustalonego schematu. Niejednokrotnie ogarniała mnie fala wzruszenia, kiedy wertując te pozółtkie już nieco zeszyty sprzed lat bez mała czterdziestu, pieczołowicie chronione przez ich autorów w plecakach, a może po prostu na pierś, pod mundurem, w czasie ciągłych wędrówek oddziału z miejsca na miejsce, napotykałem strony zmoczone niegdysiejszym deszczem lub roztopiającymi się na nich platkami śniegu, gdy kronikarz wieczorem pod gołym niebem, zabierał się do pisania. I czułem prawie zapach prochu emanujący z tych kartek, i słyszałem grzmot wystrzałów przenikły w miąższ papieru.

Odnutowywano zawsze najpierw miejsce postoju, datę i godzinę zapisu. Potem szła notatka o warunkach atmosferycznych, a następnie „Chronologiczny przebieg działań w dn...”: Tu odnotowywano — 1. Stan kompanii, 2. Stan broni: kb, lkm., tmg., pist., M-2, M. ppane. (moździerz-MD), 3. Otrzymane rozkazy: (od kogo, kiedy i o której godzinie), 4. Wydane rozkazy: (kiedy i komu), 5. Przebieg działania: 6. Ranni i zabici: (okoliczności i świadek), 7. Zaginioni, 8. Wyróżniający się w działaniach i przedstawieni do awansów i odznaczeń, 9. Uwagi.

1) W: „Zielony talkman”. Praca zbior. Bolonia 1946.
2) Dziennik bojowy II plutonu, Archiwum Instytutu im. Sikorskiego w Londynie.

Dokończenie na str. 12

Kamena str. 11

Zmowa

Maciej Podgórski

ZTEGO, co napisano w fakturach, wynikałoby, że stodoła na przykład, przerabiana dwa lata na obórę, mnożyła się i dzieliła, rozrastała, pęczniała i bulgotała niemal — jak syty indor. Pasła się setkami metrów kwadratowych rusztowań, ścian pełnych z cegły, tynków wewnętrznych, bednarki, styropianu. Bogaciła się i potężniała słupami, belkami, podciągami żelbetowymi i stropem drewnianym.

Można by sądzić, że właściwie cała spółdzielnia rolnicza z wolną zamieniała się w jedną wielką stodołę (systematycznie przekształcaną w obórę zresztą), na której szczycie siedział zadowolony Janusz Grygiel, przewodniczący; po prawicy główny księgowy, Edward Sołtys; po lewicy kierownik grupy remontowo-budowlanej, Wiesław Szewczyk; wokół zaś kręciła się posłuszna kontrola techniczna w osobie inspektora Antonowicza.

Jednego roku, czyli 1976, wykroili co najmniej 1 659 000 złotych. I nie, cisza, spokój. Toteż następnego roku, czyli 1977, wykroili już 3 822 000 złotych.

Piszę „co najmniej”, albowiem gdy do Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Brzeźnie (woj. chełmskie) zawitała w roku ubiegłym Inspekcja Okręgowego Zarządu Dochodów Państwa i Kontrola Finansowa z Lublina, w spółdzielni zaczęły „głęboko” dokumenty pewnych robót. Tak że trudno było ustalić, czy nie wykrojono czegoś przysłowiowo wagi samochodowo-wozowej, wiaty na maszyny oraz wiaty tarcz letniego, i kontrola dała spokój temu zagadnieniu.

Główny księgowy Sołtys (7 klas i 10 lat praktyki w księgowości) oświadczył na piśmie: „Powyższe dokumenty były skompletowane, lecz obecnie w tożsamy sposób zaginęły,

gdzie i kto pobral, nie wiem”. Słowem, byli i ni ma. Ale pozostało jeszcze owe 5 481 000 złotych, wykrojone (wyludzone?) w ciągu dwu lat na niwie działalności spółdzielczej grupy remontowo-budowlanej, która wykonywała roboty dla własnej spółdzielni.

Silna ta grupa pod kierownictwem Szewczyka, obracająca milionami, nie miała udokumentowanego zakresu swego działania oraz zasad rozliczeń materiałowych i finansowych. Zakupione materiały budowlane pobierano w dużej części poza ewidencją magazynową. Nie istniała dokumentacja dla większości inwestycji, nie ustalony był zakres rzeczowy planowanych robót. Nie prowadzono wymaganej w takim układzie księgi obmiaru robót. Ten bałagan się przydawał, bo zawsze można było coś wykroić.

Kierownik Szewczyk sporządzał kosztorysy powykonawcze (na jakie podstawie, trudno wyczuć), które akceptował i podpisywał człowiek z kontroli technicznej Wojewódzkiego Zarządu Inwestycji Rolniczych w Chełmie, Bogdan Antonowicz. Następnie sporządzano protokoły odbioru (nie zawsze) i faktury, które podpisywali: przewodniczący Grygiel, główny księgowy Sołtys i kierownik Szewczyk. W efekcie bank refundował z przyznanego spółdzielni kredytu inwestycyjnego i szmal płynął.

Gdy przyjechali kontrolerzy finansowi z Lublina, na ich wniosek powołano komisję, z udziałem Szewczyka i Antonowicza, dla dokonania obmiaru robót z lat 1976—1977. I wówczas ci panowie, co sporządzali i podpisywali kosztorysy powykonawcze, dowiedli sami sobie, iż zawyżyli wartość robót właśnie na kwotę 5 481 000 złotych.

W związku z tym kierownik Szewczyk (pomaturalne studium zawodo-

we budownictwa ogólnego) złożył wyjaśnienie na piśmie: „Nieprawidłowości powstały w wyniku moich pomyłek i błędów oraz braku dobrej znajomości obowiązujących zasad kosztorysowania robót remontowo-budowlanych i budowlano-montażowych”. Co się zaś tyczy braku księgi obmiarów, to wyjaśnił, iż nikt jej nie żądał.

Szewczyk, dziwnym zbiegiem okoliczności, mylił się i błędził w rachunkach wyłącznie w górę. Jego ludzie, budując drogę do spółdzielczej owczarni, kładli 10-centymetrową podsypkę z piasku, Szewczyk pisał 50-centymetrową; kładli 30-centymetrową warstwę żużlu paleniskowego, Szewczyk pisał 60-centymetrową; szerokość drogi wahała się od 5,70 m do 8,40 m, u Szewczyka miała wszędzie 8 m, jak strzelił; droga kosztowała faktycznie 279 000 złotych, on ją wyceenił na 892 000 złotych. Konstrukcja stalowa wiaty narzędziowej ważyła 11 295 kg, według niego — 21 450 kg. Przy modernizacji stodoły wykonano 31,20 metrów kwadratowych ścianek pełnych z cegły, Szewczyk przesunął tylko przecinek i wyszło 312 metrów kwadratowych; nie zrobiono słupów, belek, podciągów żelbetowych i stropu drewnianego, w fakturach Szewczyka zrobiono. Przy budowie owczarni ustawiono 129 metrów kwadratowych rusztowań do tynkowania i malowania, Szewczyk zapisał 1096; nie użyto ani centymetra styropianu do izolacji stropu, Szewczyk odnotował 928 metrów kwadratowych styropianu (a dlaczego nie na przykład 953,767?); zakup tarcicy na okna raz był ujęty w ogólnej cenie wykonania okien, a drugi raz jako oddzielna pozycja...

Tymi sposobami modernizacja stodoły, kosztująca faktycznie 955 000 złotych, wyszła na 2 505 000; budowa owczarni, kosztująca 1 335 000 złotych, wyszła na 2 580 000. Nie zbadano, czy przypadkiem koszt budowy ustępu dla obcego zleceniodawcy — 13 042 złote — nie został zawyżony.

Inspektor Antonowicz (zaoczne technikum budowlane) złożył wobec inspektorów finansowych z Lublina następujące oświadczenie: „Stwierdzam, że faktury podpisałem bez sprawdzenia rzeczowego

oraz prawidłowości zastosowanych cen i narzutów... Ja na budowę w tym czasie nie jeździłem z braku czasu, zaufałem stwierdzeniu kierownika grupy remontowej (Szewczyka) i podpisałem przedłożone kosztorysy powykonawcze... Nie jestem w stanie wyjaśnić, dlaczego nie była prowadzona księga obmiarów robót”.

Strasznie głupio tłumaczy się teraz ci panowie, jeden po drugim. Liczyli może, iż się zawali ta heca? To wszystko staje się tak smutne, że aż wesołe.

Wyniki finansowe uzyskane przez grupę remontowo-budowlaną, a więc i wykrojone 5 481 000 złotych, wliczają się w dochód ogólny spółdzielni. Po potrąceniu kwot na rezerwy i fundusze statutowe, z owych 5 481 000 blisko 5 milionów złotych weszło w zysk podzielnicy i zostało wypłacone członkom spółdzielni w postaci dniówek obrachunkowych, premii i nagród. W roku 1976 dniówka wyniosła 130 złotych (planowana 100), w roku 1977 osiągnęła 140 złotych (planowana 110).

Bardzo korzystnie przedstawiały się aparytury kadry. W roku 1977 kiedy interes się rozkręcił, przewodniczący Grygiel zarobił łącznie 230 400 złotych (133 280 złotych zarobek podstawowy plus 97 120 premii i nagrody). Główny księgowy Sołtys 102 340 złotych (91 000 plus 11 340). Kierownik Szewczyk 107 640 złotych (86 940 plus 20 700), Sabina Grygielowa, zootechnik, żona przewodniczącego — 132 140 (91 140 plus 41 000). Oblicza się łatwo, iż małżeństwo Grygielowie zarobili w 1977 roku 362 540 złotych, czyli niemal tysiąc dziennie, wliczając święta i dni wolne od pracy. Jest to wynik rzadki.

Przewodniczący Grygiel, zapytany przez kontrolerów finansowych o swój pogląd na sprawę 5 481 000 złotych, odpowiedział, iż jest tym wszystkim zaskoczony niepomiernie. Ciekawe, czy był również zaskoczony gdy podpisywał fakturę na dwie bramy w ogrodzeniu owczarni, a gołym okiem widział zbudowaną jedną, lub gdy podpisywał fakturę na 138 okien krosnowych drewnianych w owczarni, choć zainstalowano tylko 41?

DZIENNIKI BOJOWE ZNAD SANGRO

Dokończenie ze strony poprzedniej

Na koniec następował podpis prowadzącego dziennik dowódcy plutonu lub kompanii.

Oto jak wyglądał dzień 15 grudnia 1943 r. i przebieg patrolu w rejon Ateletta, zadania, podczas którego Polacy po raz pierwszy w tej wojnie starli się na Półwyspie Apenińskim z Niemcami, widziany oczyma porucznika Andrzeja Czyńskiego, dowódcy I plutonu. Na patrol wyruszyło 17 ludzi z plut. I i plut. dowodzenia: kpt. Smrokowski, rtm. Bohomolec, por. Czyński, por. Zajackowski, ppor. Zemanek, ppor. Lubański, sierż. Teperak, plut. Wilkosz, plut. Kubalok, kpr. Nudelman, kpr. Kusiak, st. strzelec Rogucki, Gu-daj, Kolankowski, Rink, Czarnik oraz James Mer-ton. Gdy wychodzili z Capracotta, była jeszcze pochmurna, mglista noc. Potem mgła zaczęła schodzić coraz niżej w dolinę, wtopiła się w ziemię; przed południem przez gęste, czarne chmury zaczęło od czasu do czasu przebijać się słońce...

1.2. Stan plutonu bez zmian jak również i broni. 3. Rano otrzymałem zapowiedź działania nocnego i dziennego (dłuższe niż 12 godz.) Wyznaczyłem ludzi wg wytycznych oraz wydałem w moim zakresie rozkazy przygotowawcze.

4.5. Wymarsz patrolu — godz. 04.00. Na miejscu nad rzeką Sangro kolo m. Ateletta — godz. 08.00. Do godz. 12.30 obserwacja rzeki, miejscowości, zabudowań i życia po drugiej stronie. 13.00 — przeprawa przez rz. Sangro i rozpoznanie wzgórz z dwoma domkami. Część działa na domki pod d-twem kpt. Smrokowskiego. Por. Czyński z grupką opanowuje wzgórze i ubezpiecza działania z prawej. 13.30 — ogień c.k.m., strzały k.b. — drugi domek [okazuje się] obsadzony [przez nieprzyjaciela].

Tutaj w dzienniku bojowym znajduje się wklejona kartka z adnotacją: „ppor. Zemanek — wrażenia, przebieg”:

Po wejściu do prawego domku kpt. Smrokowski dzieli resztę patrolu na dwie grupy. Pierwsza ma dać wsparcie ogniowe z opanowanego domku grupie drugiej, która w sile pięciu ma opanować lewy dom. [...] Ta grupa została nagle ostrzela-

na z pistolet. maszyn. z odlegl. 25 m od celu. Granatów nie można było użyć z powodu tego, że Niemcy zamknęli się w domu, strzelając przez małe okienka.

D-ca komp. wycofuje tę grupę spod domu i dziełi na dwie mniejsze. Pierwsza odchodzi na skraj lasu, z zadaniem ubezpieczenia prawego skrzydła, druga w sile dwóch ma obejść domek od tyłu i wejść do wnętrza. W drodze dowiaduję się o patrolu n-pla, który wyszedł na nasze prawe skrzydło, oraz o rannym. Przekazuję te wiadomości d-ey komp. Zostaje nakazany odwrót i ewakuacja rannego.

Ant. Zemanek, z-ca d-ey I plut.

Teraz głos zabiera znowu por. Czyński, rozwijając to, co relacjonował ppor. Zemanek i oceniając ze swego punktu widzenia:

Wydaje rozkaz: „Przystosować się do sytuacji [po strzałach z domku — MD]: st. strz. Rogucki — na grzbiecie 10 metrów przed nami, obserwować okna domku i jeśli Szwab wychyli się — strzelać! Reszta grupki wykonuje poprzednie zadanie. Sam przez obserwację rozpoznaję dalej leżącą miejscowość [prawdopodobnie San Eramo — MD]. Po godz. 14.00 z prawej, w domku czerwonym [w owej miejscowości] obserwuję ruch, widzę 4-ech, patrol, słyszę głosy, patrol niknie w krzakach, słychać strzały z kb. i broni masz. Wracam na stanowisko st. strz. Roguckiego, nie zastaję go, na jego miejsce przesuwa st. strz. Kolankowskiego z tym samym zadaniem. Gdy wracam do kierunku m. Ateletta, widzę st. strz. Roguckiego czołgającego się. Macha ręką i daje znaki, że ranny. Melduję i o patrolu poprzednim i o rannym kpt. Smrokowskiemu, sam zaopatruję rannego. Na skutek wiadomości i rozpoznania n-pla jak i następnej miejscowości [następuje] wycofanie [oddziału] i ewakuacja rannego do przeprawy — 1 km — z ubezpieczeniem i uwagą na pułapki i miny. O godz. 16.30 z powrotem przechodzimy rzekę pod dalekim ogniem k.m. O 16.50 powrotne działanie z rannym na mule. Ciemno, góry. Godz. 22.00 — powrót do Capracotta. Ranny zmarł na skutek ran, która jak lekarz ppor. Świtalski oświadczył, potrzebowała natychmiastowego zabiegu chirurgicznego.

6. Ranny ciężko st. strz. Rogucki Franciszek. Okoliczności — jak: „opis działania”. Z tym, że zapytany przeze mnie, gdy go opatrywał czemu

tak daleko poszedł, odpowiedział: „Zobaczyć go, Szwaba, nie wytrzymał no i poszedł...”

7. Zmarł w czasie transportu.

8. Wszyscy uczestnicy tego patrolu dali z siebie wszystko dla wyniesienia rannego kolegi z pola jak też dla wykonania zadania. [...]

9. Teren niezwykle trudny. Orientacja w nocy, w górach zupełnie dobra. Patrol wyczerpany i terenem, odległością i transportem rannego.

A. Czyński d-ca plut. *)

Tyle prosta, żołnierska relacja, skromny opis ratowania podkomendnego — kolegi. Zobaczymy to wszystko barwniej, szerzej, sięgnijmy do wspomnień towarzyszy broni: ujrzymy wówczas szare wzgórza, nikłą, żółtką trawę wyrastającą u podnóża murku, zza którego woła pomocy starszy strzelec Rogucki, czerwone płomyki wystrzałów migające w oknie obsadzonego przez Niemców domku i postać porucznika Czyńskiego blednącego wśród kul, przez bitewny zamęt na pomoc kole-dze. A potem zobaczymy go dźwigającego rannego na własnym grzbiecie ku rzecz. przez otwartą przestrzeń, w zasięgu niemieckiej broni. I wreszcie — owe długie godziny męczącej, wspinaczki w ciemności przez górskie wertepy z jęczącym coraz ciszej rannym, przytroczonym do grzbietu zdobytego przypadkiem w pobliskiej wiosce mula.

Franciszek Rogucki zmarł z powodu ciężkiego postępu w miednicę. 15 grudnia 1943 r. około godz. 22.00. Następnego dnia chowano go na cmentarzu katolickim w Capracotta. Pogrzeb odbył się o godz. 16.00 przy udziale plutonu honorowego i reszty żołnierzy kompanii nie biorących udziału w zadaniach bojowych.

Jeżeli będziecie kiedy w Abruzzach, zajrzyjcie nad Sangro, na cmentarz w Capracotta. Leży tam pierwszy Polak, który zginął na ziemi włoskiej w drodze do Polski. Szedł do niej z bardzo daleka, aż ze Stanów Zjednoczonych, z rodzinnego Pittsburga. Polski nigdy nie widział i nawet słabo mówił po polsku. Ale wiedział jakie ma obowiązki względem „starego kraju” leżącego daleko za oceanem. Te uczucia zaszczerpała w nim matka i to za jej namową, zamiast munduru armii USA wybrał mundur z naszywką „Poland”.

Towarzysze broni postawili na jego grobie wysoki drewniany krzyż, a na tabliczce, obok imienia i nazwiska wymalowali znak Operacji Połączonych: kotwicę, tommy-gun i albatrosa w locie.

Mirosław Derecki

*) Dziennik bojowy I plutonu. Archiwum Instytutu im. Sikorskiego w Londynie.

Stare dzieje

MA swą historię świat, ma ją naród i państwo. Mają swą historię też miasta i wsie. Jest to historia często bardzo długa, czasem też kilkuletnia tylko. Ale w tradycji mieszkańców miast i wsi jakiś fragment tej historii ma wyższą rangę od innych i przechodzi jako legenda z pokolenia na pokolenie. Ułatwiający przekazywanie tych tradycji długie zimowe wieczory w latach, gdy nie było jeszcze telewizji i radia. Dziś wieczory wypełnia program telewizyjny, co nie sprzyja słuchaniu opowiadań dziadków, którzy nie zawsze mogą przekazać to, co od swoich dziadków słyszeli.

Dlatego też z dużym uznaniem trzeba przyjąć starania zbieraczy — regionalistów, którzy chcą ocalić od zapomnienia to, co w tradycji ludzi przemija i zginąć może bezpowrotnie. Właśnie zbiorek opowiadań historycznych Longina Jana Okonia „Niezwyczajne dzieje pięknej Anny” spełnia tę rolę w stosunku do terenów dawnego powiatu lubartowskiego. Po opublikowaniu dwu zbiorów obejmujących historię i legendy własnego miasta — Chelma przeniósł swe zainteresowanie nad Wieprz, Ciemlegę i Minię. Dopomógł mu w tym — jak pisze w posłowie do zbioru — lubartowski działacz — regionalista, Józef Lulek.

Longin Jan Okon z notatek regionalistów oraz z materiałów archiwalnych i przekazów najnowszych stworzył zbiór ciekawych opowiadań, przedstawiających dzieje od czasów Mieszka I do walk partyzanckich ostatniej wojny i powstania ludowej władzy na Lubelszczyźnie.

Doświadczone pióro autora „Legend chelmskich” i tu dzięki żywej narracji i losom bohaterów poszczególnych opowiadań pochłania uwagę czytelnika, który nie odróżnia historycznych faktów od literackiej fabuły stworzonej przez autora. Czytelnik śledzi losy Kijana (pochodzących z Kijowa) bohaterów opowiadania „Wieszczębiarznad Pryceci” opowiadającego o walkach o Grody Czerwińskie, mieszczan lubelskich i ucziwych jeńców spod Grunwaldu, którzy walczą ze swymi współtowarzyszami — przestępcami, a potem są zaczątkiem ludności wsi Niemce.

Do smutnych refleksji, jak zmienne są losy dawnych miast, doprowadza lektura opowiadania „Szwedzi pod Rawą”. Dziś bowiem jest to niewielka wieś, w której zachował się tylko z dawnej świetności kształt rynku miejskiego.

Tytułowa bohaterka piękna Anna z Granowskich 1^o voto Chreptowiczowa, 2^o voto Zamowska, 3^o voto Lubomirska występuje w dwu kolejnych opowiadaniach. Jej chęć i bezwzględność w stosunku do kamionkowskich tkaczy, która doprowadziła do likwidacji tego pięknego zawodu, budzi do niej bezwzględny niechęć.

Najbardziej znane fakty przytacza autor w ostatnim opowiadaniu „Czterdziesty czwarty”. Bohaterstwo Ostrowa Lubelskiego, Jam i Bójek, które dziś tworzą jedną jednostkę administracyjną i posiadają trzy Krzyże Grunwaldu wiszące w sali Ratusza, było już tematem szeregu publikacji. Jednak zbeletryzowana forma opowiadania bardziej przybliży jego bohaterów czytelnikowi niż opracowania kronikarskie i naukowe.

„Niezwyczajne dzieje pięknej Anny” ratują piękną tradycję ludową. Powinny one stać się przedmiotem specjalnego zainteresowania miłośników historii Lubelszczyzny, a szczególnie dawnego powiatu lubartowskiego. Mogą stać się tematem opowiadań dla przewodników i pilotów wycieczek przejeżdżających przez ten teren, zwiedzających pałace w Lubartowie i Kozłowie, dla wczasowiczów w Firleju i amatorów wycieczek po kozłowieckich lasach.

A podjęta przez autora działalność ocalenia od zapomnienia dawnych legend i fragmentów historii powinno się kontynuować.

T. Gwardak

Za nim samo życie • Co się liczy? • Chodźmy do Einsteina

JAK publicystyka ma swój slogan (ten miała, dziś i publicystyka nie ma), tak beletrystyka sztampę atrakcyjności. Sprzecznosc w określeniu? Ale odpowiada rzeczywistości. Literatura powieściowa dziś do tego stopnia zabiega o sytuacyjne smaczki, że z powodzeniem można mówić o obsesji, o manierze, o sztampie. Weźmy np. autora tak oddalonego — zdawałoby się — od uroków stylu, od pisarskiej kokieterii, od „klamstwa literatury”, jak Marek Nowakowski. Co mu tam gust czytelnicy, co opinia recenzenta, za nim samo życie!

Jego ostatni tom opowiadań „Książę nocy”, a właściwie, żeby nie przedłużać, opowiadanie jedno — tytułowe. Książę nocy (warszawski lump z wczesnych lat po wywołaniu) idzie zdemaskować „fuchę” podległych sobie dwóch prostytutek, które wzięły dwóch facetów „na lewo”. Z pomocą swoich asystentów wyważa drzwi. To wcale nie alarmuje obecnych. Cztery ciała dalej leżą ze sobą splątane. Przez cały dzień? Książę nocy wkroczył późnym wieczorem. Okazuje się, że śpią. Więc spali w czasie aktu płciowego? W tym rzecz, naladować ile się da „ekspresji”, „miecha”, „goyowatości”. Choćby w najgorszym gatunku, za najniższą cenę. Można o tym przeczytać na str. 29. Na str. zaś 47 „kasjerka w okienku uśmiecha się zalotnie do marynarza”. Kto widział dworzec warszawski w czasie sprzed odbudowy Warszawy — a przecież i teraz — ten ścisak, ten pośluch, tę taśmę produkującą podróży, akurat uwierzy w realność tej sceny wyprodukowanej piórem tego realisty. Ale cóż by robiła współczesna literatura bez zmińki. Na str. 57 Książę nocy nie zapłacił rachunku. Zjadłszy, wypiszą cichaczem wychodzi. Co robi kelner? Jota w jota to samo, co wszyscy powieściowcy kelnerzy: wybiega za nim „wymachując rachunkiem”. Spójrzmy: rachunek kelner wystawia na żądanie klienta, więc Książę nocy zażądał rachunku po to, by utrudnić sobie odwrót? Czy kelner widząc umykającego Książę nocy jął się wypisywanie rachunku po to, by opóźnić posługę? Takie sceny już pod piórem powieściowców bajarzy z ubiegłego wieku trąciły naiwnością. Adopuje je teraz ambitna, odzęgnająca się od fałszy literatury współczesna.

Piszę o tym może trochę za długo, ale to przez zdenerwowanie. Zdenerwowanie wynika stąd, że dzisiejszy autor chce mieć za cielę przed malowanymi urotami, a nie świadka swojej porażki. Porażki. Bo nie mając nic do powiedzenia w zakresie filozofii człowieka, psychologii, moralności, myśli mi oczy „atrakcyjnością” życia często — jak widzimy — zacierpięty z wymiawanymi wzorów literatury bardzo tradycyjnej i jeszcze bardziej konwencjonalnej. Czy naprawdę na temat współczesnego świata nie ma nic do powiedzenia? Zależy to chyba od kandydata na mówiącego.

Racja, nie tylko od mówiącego. Sama topografia stosunków międzylud-

skich jest tego rodzaju, że uszuwa ten drugi, psychiczny plan na rzecz wi-
doczności planu pierwszego, ten wa-
runków życiowych, bezpośrednich wy-
darzeń dnia. Ale — dalszypis — sto-
sunków międzyludzkich nie wytwa-
rzają zielone ludziki tym razem o zło-
śliwym usposobieniu, lecz my zami,
mieszkańcy planety, która kiedyś zo-
stała nazwana „planetą ludzi”. A li-
teratura wcale w tym kierunku nie
zdradza żadnego zainteresowania. U-
waża, że nie „nie wskóra”. Ale ileż zna-
czyłaby już sama porażka! Znacznie
więcej, niż niepodjęcie tematu.

Listy do Gerwazego

Rzecz dla mnie w tym, że nie mam
zaufania do współczesnej książki. Nie
potrafię z nią rozmawiać. Owszem, nie
zabraniam jej wstępu do mojego do-
mu, ale nie jest to znajomy, z którym
chętnie posiedziałbym przy herbacie
prowadząc rozmowę niekoniecznie na
temat, ale będąc pewnym, że co rusz
ciekawa dygresja szarpnie moje zain-
teresowanie i wywoła aplauz. Ze wie-
trzeje we mnie uznanie również dla
literatury wczorajszych? Nie przeczę.
Rzeczywiście zachodzi jakiś proces de-
waluacji słowa beletrystycznego i do-
świadczałem tego na własnym przykładzie
zwracając się chętniej ku litera-
turze popularno-naukowej niż „pięk-
nej”. Ale może właśnie dzień dzisiejszy
temu winien? Zamiast pchnąć a-
trakcyjność i znaczenie literatury na
przód — analogicznie np. do sportu,
który swoje wyniki tak wyawansował
— nadał jej postać Kopeiuszka nie be-
dącego zamaskowaną królową? Dziewczynki z zapalkami? Posłuży się
przykładem z dziedziny poezji: gdyby
awangarda lat 56—79 pojawiła się w
latach trzydziestych, w całości trafi-
łaby do kosza bynajmniej nie ze
względu na swoją niekomunikatywność:
ze względu na brak poetyckiego
znaczenia. Tu i tam kręci się no-
sem na dokonania grupy „Zwrotnica”.
Dla mnie osobiście Brzękowski jest
rybakiem mętnej wody. Ale wolę już
awangardę-nieczystość a nawet a-
wangardę-wyglupu. W pierwszym wypadku
można mówić przynajmniej o nadziei
na uchwylenie nie wyeksploatowanego
wątku, gdy w drugim — o świadomym
naciąganiu, hochsztaplerstwie,
humbugu. „Koniec i bomba, a kto
czytał ten trąba” — zakończył swoją
„Ferdypurke” Witold Gombrowicz. Au-
tor współczesnej „Ferdypurki” nawet
na to nie chce się zdobyć. Nie może.

Zaplanował zrobić majątek na maku-
laturze.

Z tych to powodów — jak do zna-
czenia powtarzam — nie ma dziś li-
teratury, jest życie literackie. Kto wy-
drukował, kto kogo objechał, kto o-
stentacyjnie nie odpowiadał, kto się
z kim nie spotkał — to się liczy i to
tylko znajduje się na wokandy dnia.
A kto coś powiedział — nie tylko ni-
kogo nie interesuje, ale pozostaje zwię-
złą dopiętą enigmatyczną. Zresztą
trudno znaleźć przedmiot, którego nie
ma. Mówi Lec: „Wszystko już zostało
napisane. Całe szczęście, że nie wszys-
tko pomyślane”. I pisarze nie korzy-
stają z prawdy tego aforyzmu. Nie
myślą, mimo że w tej dziedzinie da
się jeszcze coś zrobić, natomiast piszą,
mimo że to teren już wyeksploatowa-
ny. Co piszą? Tym razem niech będzie
Galczyński.

„Wacio (z wyżej wspomnianej
gromadki)

wziął się do literatury,
wstąpił do Związku, zapłacił składki
i pisał różne bzdury:
na katolicyzm, o stawach w rżesie
i o brzozywej korze,
kawalki w stylu „Zielonej gęsi”,
tylko dwa razy gorzej”.

A więc, awans chłopca do miasta i
związane z tym implikacje psycholo-
giczno-obyczajowe. Czy wymieniać na-
zwiska? Konflikt między postępowym
pierwszym inżynierem, a asekuranc-
kim dyrektorem. Wymieniać nazwiska?
Swiatek pół-marginesu. Wymieniać na-
zwiska? Itd. Wymieniać nazwiska? W
tym sęk, że autor nie opisuje swojego
świata, treści, przemyśleń, zasobu do-
świadczeń życiowych, ale bierze na
warsztat temat jeden z aktualnych, le-
żących do obróbki na półce wydaw-
nictwa. Jak gospodyni domowa kupu-
je koncentrat i robi zeń zupę. Gdzie
we współczesnej powieści wyczytała
twarz autora? Chyba tam, gdzie autor
się chowa za wykonywany temat i
wyświechtane w swej „atrakcyjności”
środki wyrazu. Chce zasugerować,
że twarz ukrył, podczas gdy nie ma
jej rzeczywistości.

A refleksja? Pod postacią głębi wy-
stępująca pretensjonalność. Do kogo
ta gadka? Czy nie czytałem Gide’a,
Mauriac’a, Berenta? Jak współczesny
autor ma czelność dawać ten substrat
w miejsce towaru pierwszej jakości
nawet nie troszcząc się o to, by się
doń w jakimś stopniu zbliżyć, nawet
nie wykazując zażenowania, jeśli nie
zblizła się wcale? Nie wiem, do licha,
co jest: czy dobra literatura znajduje
się w szufladach, czy dobry autor pi-
sze lichą powieść, bo innej nie przy-
mie wydawnictwo, czy — co najpraw-
dopodobniejsze — nie ma dobrych
autorów. Mówię o dzisiejszych debiu-
tantach. Bo co wyjdzie spod pióra Pu-
tramenta, Broszkiewicz jest wciąż do
czytania.

Ha. Więc w sztuce pisarskiej może
rzeczywiście istnieć postęp, lecz odby-
wa się w różnych kierunkach czasu?
Chodźmy do Einsteina po wyjaśnienie.

Protazy

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 50 LATY

Wczoraj od wczesnego rana do póź-
nego wieczora padał obficie śnieg. O-
pady śniegu spowodowały liczne uszko-
dzenia linii telefonicznej i telegraficz-
nej opóźnienia pociągów, zaś komuni-
kację autobusową zupełnie uniemożli-
wiły. Autobusy międzymiastowe w dniu
wczorajszym nie wyszły z garaży.

W komunikacji telefonicznej śnieg
spowodował liczne uszkodzenia na li-
niach pomiędzy Lublinem, Warszawą,
Tomaszowem i Zamościem.

Elekrownia miejska, tak długo i
z takim upragnieniem oczekiwana przez
mieszkańców miasta, zaczyna przynosić
już pewne rozczarowanie.

Nie tylko, że gospodarka elekrowni
prowadzona jest nieoszczędnie, gdyż
lampy zapalane są zbyt wczesnie (jak
np. na Alejach Jagiellońskich od godz.

3-ej), również w godz. 7-ej rano mieszk-
kańcy domów korzystający z prądu
miejskiego, pozbawieni już są światła.
O tej porze w mieście rozpoczyna się
ruch i życie. W domach prywatnych
dzieci i wszyscy pracujący poza domem
przygotowują się do wyjścia do swoich
zajęć. Światło więc jest jeszcze nie-
zbędne i zarząd elekrowni winien przede-
wszystkim liczyć się z potrzebami
publiczności, dla dogodności której
przeznaczona jest elekrownia w tej sa-
mej mierze jak i wszystkie instytucje
publiczne lub przedsiębiorstwa samorzą-
dowe. Chcemy wierzyć, że wszystkie te
niedociągnięcia powstały z nieuregulo-
wania jeszcze na początku całego aparatu
gospodarczego elekrowni. Należy
braki te jak najszybciej usunąć.

Nowa autobusowa komunikacja
miejska, która żywo interesuje społec-
zeństwo lubelskie, wymaga kilku uw-
ag. Przede wszystkim nie odpowiada
obsługa konduktorska. Konduktorami
nie mogą być ludzie, którzy dotąd nie
wspólnego z tego rodzaju czynnościami
nie mieli. Drugą nie mniej ważną spr-
awą są przerwy w kursowaniu autobu-
sów. Są przystanki, na których pasażer-
owie czekają po 20 i 30 minut. Te dwie
bolączki Magistrat powinien usunąć
jak najprędzej. Również należałoby
wprowadzić zmianę dla urzędników pań-
stwowych, wojska i młodzieży uczącej
się. Otrzymujemy również wiele skarg
od mieszkańców ul. Bychawskiej za tu-
nelem; w myśl pierwotnego zarządze-
nia przedmieście to było uwzględnione
w rozkładzie komunikacji. Dziwne wy-
daje się, dlaczego cofnięto to zarządze-
nie, skoro ilość autobusów kursujących
została powiększona z 4 do 5. Autobusy
miejskie po kilku dopiero dniach kur-
sowania są już nadwerżone a nawet u
niektórych powybijano szyby.

„Ziemia Lubelska”

Z przykrością powracamy do nie-
jednokrotnie poruszanego przez nas te-

matu stosunków panujących na poczcie
lubelskiej.

Publiczność, która korzysta z instytu-
cji pocztowych, jest balastem, z którym
nikt się nie liczy i nie dba o jego wy-
godę. Świadczy o tym chociażby brak
większej ilości okienek PKO, w której
ruch się zwiększa z każdym dniem,
wszyscy bowiem wolą przesyłać pienię-
dże na czek PKO, niż przekazać poczt-
owym ze względów oszczędnościowych.
Na poczcie jest jednak tylko jedno za-
leżenie okienko nadawcze, co powoduje
olbrzymie ogonki i narzuca publiczność
na godzinie oczekiwania swej kolejki.
Drugą bolączką poczty lubelskiej w o-
kresie zimowym jest napływ do vesti-
bulu pocztowego całej masy ciemnych
indywiduów, które przychodzą tu tyl-
ko po to, by się ogrzać. Duzo można
powiedzieć o paleniu papierosów. A
przecież lokal poczty powinien być wy-
razem kultury i porządku.

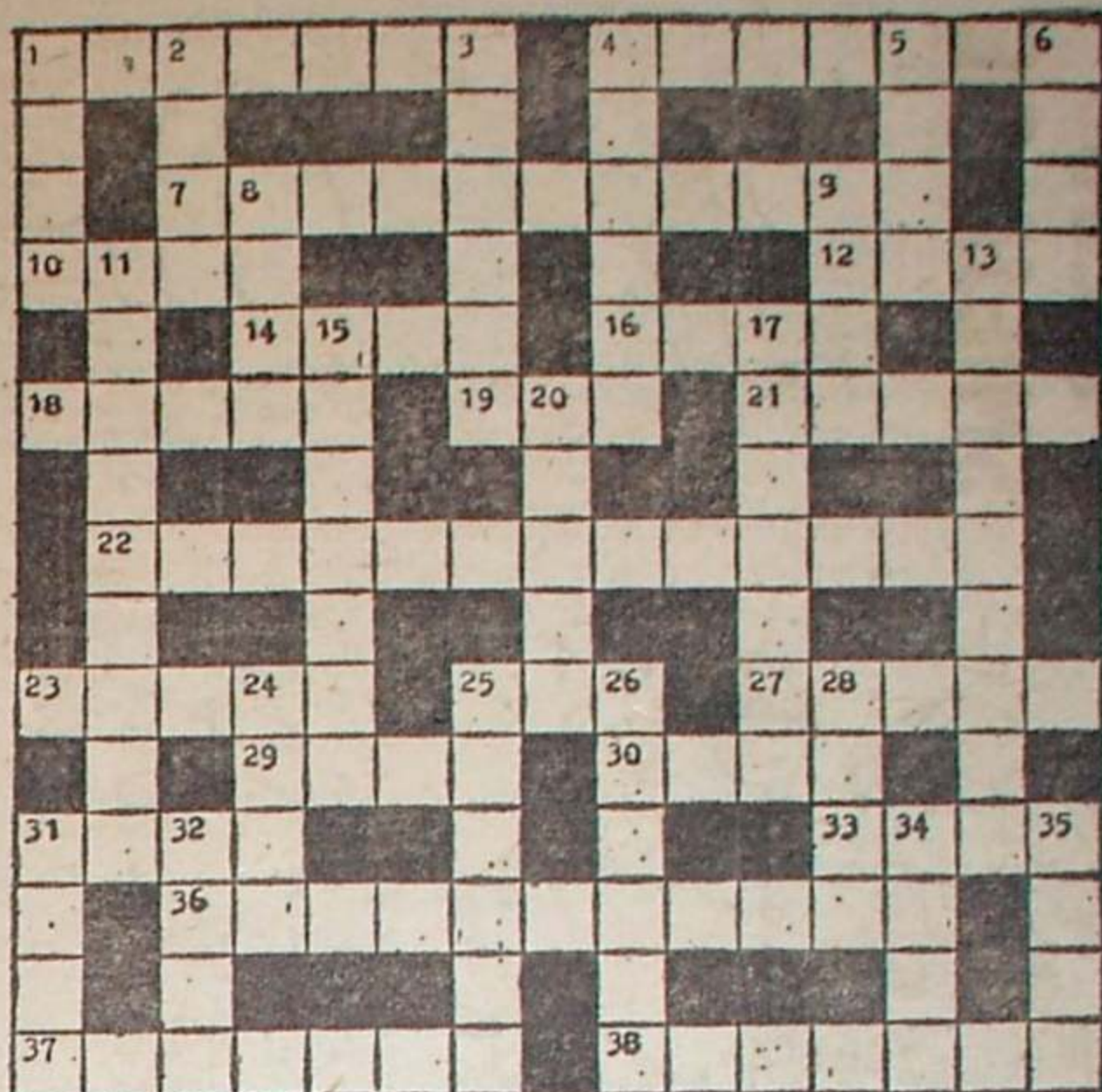
O nieporządkach jakie panują w
dziale sekwestratorskim Magistrata, pi-
salismy już niejednokrotnie. Ostatnio
zanotować należy nowe kwiatostoki. Wy-
słała się nakazy płatnicze na podatek od
psów. Nakazy te otrzymało już cały
szereg osób, które psa nigdy nie miały
i nie mają. Nie pomaga tłumaczenie, że
psa w domu nie ma, nie pomaga nawet
zaświadczenie gospodarza potwierdzają-
ce nieposiadanie psa. Wzwanym po-
syla się od Anny do Kaitasza. Staje
wreszcie na tym, że kabe się pisać po-
danie o zwolnienie od podatku. Czyż
to nie balagan?

„Głos Lubelski”

Wybrała: Anna Orzechowska

KRZYŻÓWKA

(nr 3)



Poziomo: 1. uczestnik corridy, 4. staw ręki lub połączenie dwu drążków napędu, 7. pisarka polska, współpracowała z Kornackim, 10. zwierzę karmione na mięso, 12. reszki rozbitego pojazdu, 14. ziemia uprawna, 16. stolica radzieckiej republiki nadbałtyckiej, 18. dźwięk sklepienie niebieskie, 19. gdy lewarek nie jest wrzucony na bieżąco, 21. niespokojne państwo arabskie, 22. pisarka polska, autorka „Dziewcząt z Nowolipki”, 23. nowela Prusa, 25. wykonawca wyroku, 27. stolica Afganistanu, 29. powłoka tkanina, 30. północno-zachodnia kraina starożytnej Grecji, 31. bóg leśny, 33. imię wieszczki, 35. znany polski dyrygent, dyrektor teatrów operowych, 37. dzieła uznane, zaliczane do wzorowych, 38. kształtne stare pismo.

Pionowo: 1. most prowadzący do nikąd, 2. niski instrument dęty blaszany, 3. miasto z zabytkami na Mazurach, 4. ostra przyprawa, 5. hałas wielu głosów, 6. utwardzona, ale nie ulepszona nawierzchnia, 8. choroba epidemiczna, 9. rzeka z gwizdanej melodii, 11. wyżyna kraina w pld. Argentynie, 13. zespół urządzeń laboratoryjnych, 15. mięso, 17. popularny z filmu i teatru aktor teatrów warszawskich, 20. apteczka jednostka wagi, 24. sycylijski wulkan, 25. dramat Wyspiańskiego, 26. październikowa solenizantka, 28. aromatyczny alkohol, 31. męski bardz wytworny strój, 32. zmniejszenie się bólu, 34. stuga cerkiewny, 35. wybuch pod nogami.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 1

Poziomo: Maeterlinck, pulap, narty, Bardini, turbina, tango, astma, Września, Neruda, miasto, azalia, siatka, tarapaty, blask, anker, roztwór, brojler, calka, karta, Lukasiewicz.

Pionowo: Żuławski, aplikant, monitor, ekran, edytor, litr, nici, karawana, Baśka,

gwara, znak, EOKA, Ursyn, materiał, start, Zabłocki, inspekty, torbac, tarcze, kokki, zysk, włos.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 1 bony książkowe po 40 zł za każdy wy-

losowali: Helena Purc 20-078 Lublin, Cleha 1 m. 1, Sabina Bourdo 20-128 Lublin, Okrzeł 2/59, Zygmunt Moskal 20-635 Lublin, Faraona 4/12, Ryszard Samolej 27-406 Ostrowiec Sw., Sienkiewicza 65 bl. 10/A.

POCZTA literacka



A. Z. Lublin. Nie mogę zrozumieć, co tak ciągnie Panią do stylu piosenki, a — jak dawniej się mówiło — sztambuha czy imiennika. Ten styl polega na podawaniu „odkryć” i „prawd” za obywateli w stosunku do użytych słów — przez to banalnych. Tego, co wpisywało się do pamiętników — „życie jest snem”, „ceń serce wyżej od umysłu”, „pomagaj słabszym od ciebie” — Pani nie może pamiętać, ale z pewnością pamięta Pani Niemena „dziwny jest ten świat”. Czy mało zasłużonej ironii ta „rewelacja” otrzymała? Dlaczego Pani uporczywie powtarza te naiwności? Psują one tekst, odbierają mu znaczenie nawet w tych miejscach, które mogłyby coś znaczyć.

Z. M. Opole. Pisze Pan, że „ludzie siedzący w redakcjach literackich czasopism otrzymawszy do oceny tekst sąsiadują się...”. Nie będę cytował dalej. Chce Pan powiedzieć, że nie dają oceny trafnej. Przecież i ta trafna nie może być inna, niż subiektywna, chodzi jedynie o to, by wynikała z doświadczeń czytającego i jego dążności do trafnego odebrania intencji autora. Tego się właśnie od redakcyjnych recenzentów wymaga. A jeśli mówi Pan, że posiadanie o nie dość uważne czytanie względnie kierowanie się względami ubocznymi u recenzentów redakcyjnych pochodzi od krytyków literackich, to można zauważyć, że ten zarzut odnosi się również do owych krytyków. Autora „Poczty literackiej” posadza Pan o stronniczość w przeciwieństwie do autora „Listów do Gerwazego”, któremu przyznaje Pan obiektywizm. Jest to jedna i ta sama osoba.

A. S. Stalowa Wola. Pańskie opowiadanie blednie bardzo sprawnie, ale tak jak żołnierz, który ma dobry ekwipunek, lecz nie bardzo wie, na jaką wyrusza wojenkę. Co chce Pan wywołać, jakie tereny? Czemu ma służyć szereg tego oręża? Odpowiedzi nie znajduję, opowiadanie traktuję jak zrytualizowaną imitację manewrów, a nie rzeczywistą akcję wojenną. „Kościuszko pod Racławicami” — bywały taktyki widowiska plenerowe i one przychodzą mi na myśl, kiedy czytam pańskie opowiadanie.

R. Z. Krasnystaw. W gruncie rzeczy jest obojętne, jaki światopogląd moralny wyznaje poeta. Jeśli jest lajdakiem, powinien mieć do czynienia z kodeksem karnym i rzeczywiście jestem w tym zainteresowany, ale to nie znaczy, że po „odsadce” wróci do moich czytelników. Lask, jeśli był i jest poetą klepskim. Są to dwie sfery na ogół niezbieżne. Chcę wskazać, że nie wystarczy wytworzyć w sobie stan ducha szlachetny i wniosły (zakładam) wywodzący się ze sztucznych impulsów, by dobre wierze się sprytnie jak ziarno w czas urodzaju. Potrzeba tu dużo odczuć, doświadczyć, zrozumieć, dużo napracować się nad wytworzeniem narzędzia wypowiedzi, takim jest słowo. Nie wolni byli od tego nawet poeci utalentowani. Talent to wcale nie przeciwieństwo pracy, a kto wie, czy nie jeden z jej zasadniczych warunków. W każdym razie muzeum rozwijać Pana zdumienie: ani unicestwienie wrota ku „górnym rejonom ducha”, ani oczekiwanie na przyszłość twórczej weny nie przyniesie wierszy. Wiersze się pisze. Niektórzy nawet mówią, że się robi.

R. G. Lublin. Świat przez Panią przedstawiony jest zanadto wyidealizowany. Wiersz wygląda jak opakowanie czekolady. Gdybym miał patrzeć przez pryzmat tych kryteriów, nie zauważyłbym istniejących między ludźmi zawiści, zazdrości, niechęci. Nie potrzeba światła unalniać. Ale z drugiej strony nie potrzeba przesłania spojżenia, by być w świecie zjawiska również dodatnie. Pani popatrzyła za wąsko, dlatego wiersze ułożyły się w proślitkę rymowanymi dobrą dla dzieł na „dobranockę”. (Co nie oznacza zresztą, by poezja dla dzieci nie legitymowała się spełnieniami wybitnymi).

T. W. Stalowa Wola. Tekst miejscami ładnie brzmi, ale zbyt często przechyla się w naiwność i to w sposób przedziwnie obczyjny. Jakby Panu zależało na autodegradacji. Kiedy mówimy o dorobku poety, mierzymy go rozmiarami jego najwzruszniejszych osiągnięć, ale kiedy o jednym wierszu — aktualność zachowuje powołanie o laudację, który jest tak silny, jak najszlachetniejszy ogień. W Pana wierszu słabych ogniw jest niepomiarne dużo.

F. S. Biała Podlaska. Zgoda, ogólny sens tego tekstu — psychologiczny, filozoficzny etc. — jest wyraźny i przekonujący. Ze człowieka bywa zagubiony wśród nieprzychylnych struktur społecznych, że często nie daje mu się stwierdzić swojej moralnej tożsamości, że gubi nawet poczucie własnej indywidualności. To wszystko znamy nie tylko z Kafki i Heideggera. Ale z przełożeniem tego na język konstrukcji literackich jest w tych tekstach gorzej. Musimy przyjmować na wiarę, że mało tu przekonujących motywacji. W opisanych wydarzeniach widzimy dowolność metaforyzowania, a nie konieczność logicznych zależności. Proponuję więc realizmu. Moim prywatnym zdaniem jest to najtrudniejszy i najambitniejszy kierunek literacki.

G. R. Lubartów, S. M. Końskowola, R. C. Ostrołęka, W. I. Radomsko, J. E. Biejsko-Biała, W. Z. Antonówka — nie skorzystamy.



„ŚCIĘCIE SŁUPA”

Z rozważaniem śledzę wysiłki czytelników, którzy od dłuższego czasu, popierani zresztą przez redakcję, próbują listami do „Kamieny” nakłonić Miejskiego Konserwatora Zabytków w Lublinie do zajęcia stanowiska wobec faktu niszczenia zabytkowego słupa ogłoszeniowego przy ul. Narutowicza, a dyrekcję Muzeum Okręgowego — do podania do publicznej wiadomości, jakiego losy teraźniejsze i przyszłe pracowni — muzeum biograficznego Zenona Kononowicza przy ul. Skłodowskiej. Obie te instytucje mierzczą konsekwentnie, nie poszukiwano nawet przypomnienia im o obowiązku odpowiedzi na interpelację prasową niejako zadekretowanego zarządzeniem Prezesa Rady Ministrów. Wszystko wskazuje na to, że konserwator i dyrektor muzeum nie bardzo wiedzą co odpowiedzieć, bo wiodocnie mają coś na sumieniu, a poza tym są ponad wszelkimi przepisami, zarządzeniami itp. Pisze o tym dlatego, że i mnie interesuje stan faktyczny obu wymienionych spraw. Może uzyskam odpowiedź?

Andrzej Konarski
Lublin

OD REDAKCJI: List ten kierujemy do wiadomości ob. J. Janiakowej, pełniącej funkcję Miejskiego Konserwatora Zabytków w Lublinie i do ob. A. Gaudy, dyrektora Muzeum Okręgowego. Prosimy także ob. R. Lisa, prezesa ZPAP w Lublinie, o zajęcie stanowiska w sprawie pracowni — muzeum Kononowicza. W tym trybie podnosimy kwestie po raz ostatni.

KULTURA NA WĘGLU

„Kamena” często informuje o pracach budowlano-górnictwa w obrębie Lubelskiego Zagłębia Węglowego, lecz tylko raz pisaliśmy o planach rozwoju kultury na tym obszarze. Pamiętam, że chodziło o analizę potrzeb w tym zakresie, która była podstawą opracowania odpowiedniego programu. Ciekaw jestem, czy dokument ten ma już moc wykonawczą, czy będzie realizowany, a jeśli tak, to kiedy. Rzecz wydaje mi się warta uwagi, nie możemy dopuścić do tego, aby kolos przemysłowy powstał w pustce kulturalnej.

Janusz Woźniak
Chelm

OD REDAKCJI: O działalności kulturalnej i planach jej rozwoju w obrębie LZW pisaliśmy nie jeden raz, ale być może problem wymaga większej ekspozycji. Dziękując Panu za uwagi informujemy, że do tematu powrócimy w najbliższym czasie.

GALERIA W HRUBIESZOWIE

Byłem niedawno przejazdem w Hrubieszowie i to, co zobaczyłem w mieście Prusa i Staszica, zachęciło mnie do napisania tego listu. Odtąd, ku mojemu niemiemu zaskożeniu, na jednej z ulic miasta natknąłem się na pomysłową galerię sztuki, ułożoną na długiej wstępie jakiejś instytucji. Chcąc nie chcąc, przechodzący tamtędy ludzie muszą rzucić okiem na obrazy, niemal wychodzące na chodnik. Czyje są to dzieła? Jerzego Nowosielskiego, Władysława Fillipiaka i młodych malarzy: Grzegorza Szafranieckiego, Mariana Kepińskiego i innych, wcale nie gorzyczych artystów. Po gratulować pomysłowi Hrubieszowskiemu Domowi Kultury!

Adam Kuś
Łódź

35-LECIE

Przy Krakowskim Przedmieściu 62 w Lublinie znajduje się neoklasycystyczny pałac, będący obecnie siedzibą Międzyuczeln-

ianego Instytutu Nauk Politycznych śródownska akademickiego. Zaden znak, żadna tablica nie przypomina, że właśnie ten budynek był w 1944 roku, w okresie PKWN, pierwszym na wyzwolonych terenach centrum prasowym. Mieściła się tam redakcja „Rzeczypospolitej”, organu PKWN, oraz pierwszego w Polsce Ludowej tygodnika literackiego „Odrodzenie”, tam też sponała się do swojej wielkiej akcji oświatowej Spółdzielnia Wydawnicza „Człowiek”, kierowana przez Jerzego Borejsę. Wydawnictwa te wykonały kawał dobrej roboty na rzecz nowego ustroju i właśnie teraz, w 35 rocznicę PRL, należałoby to upamiętnić stosowną tablicą, umieszczoną chyba na zewnątrz budynku.

Krystyna Wiącek
Warszawa

W FALACH BASENU?

Pisałiście kiedyś, że w Puławach narodził się nowy ośrodek polskiego sportu pływackiego dla młodzieży szkolnej, która ostro zabiera się do bicia rekordów pływackich kraju w kategoriach młodzików i juniorów. Od pewnego czasu temat ten sypnął z lamów prasy — czyżby ośrodek utonął w falach basenu?

Tadeusz Patyński
Lublin

TO NIE PLAGIAT

Szanowna Redakcjo!

Rysunek mego autorstwa zamieszczony w nr 1/79 „Kamieny” leżał w redakcji od kwietnia 1978 r. Przypominam o tym, gdyż w „Karuzeli” czereścowej lub lipcowej z ub. roku właśnie podobnym rysunkiem ktoś, którego nazwisko mi umknęło, debiutował.

Jacek Hordejuk
Białystok

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechazy-Budnicka, Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasinski, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIAZKA—RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach: — do 28 listopada na styczeń, i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następnego, — do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78.— Jednostki gospodarki społecznej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIAZKA—RUCH”.

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratę indywidualną, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIAZKA—RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1331-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki, piątki w godz. 14—18.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie W. dawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 133.

Numer łamal Mieczysław Paujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

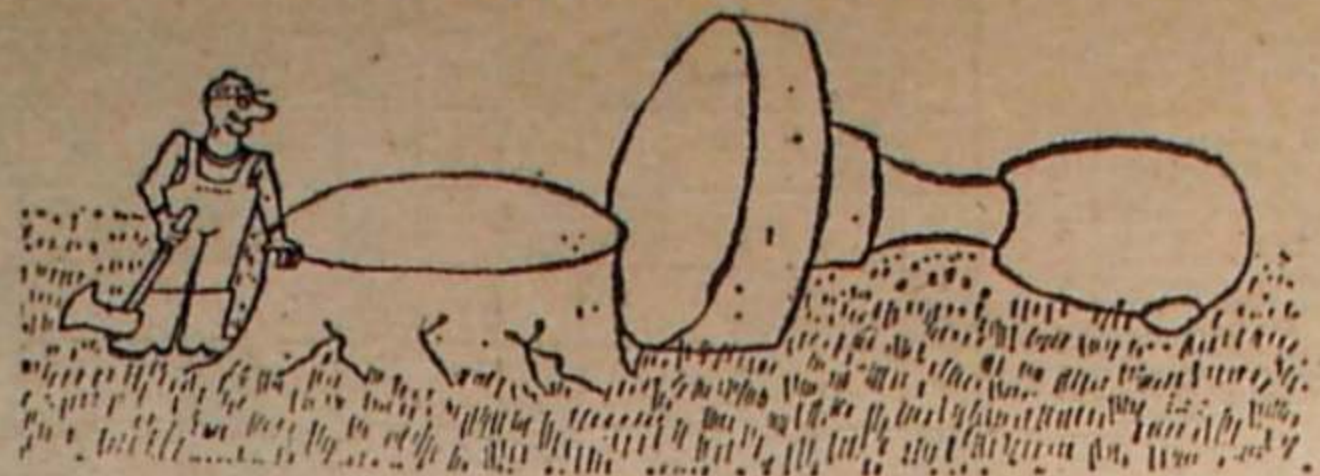
Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, z-ca red. nac. 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykle kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nr indeksu 30230

Z CZEGO SMIEJA SIĘ

w Czechosłowacji



...we Francji



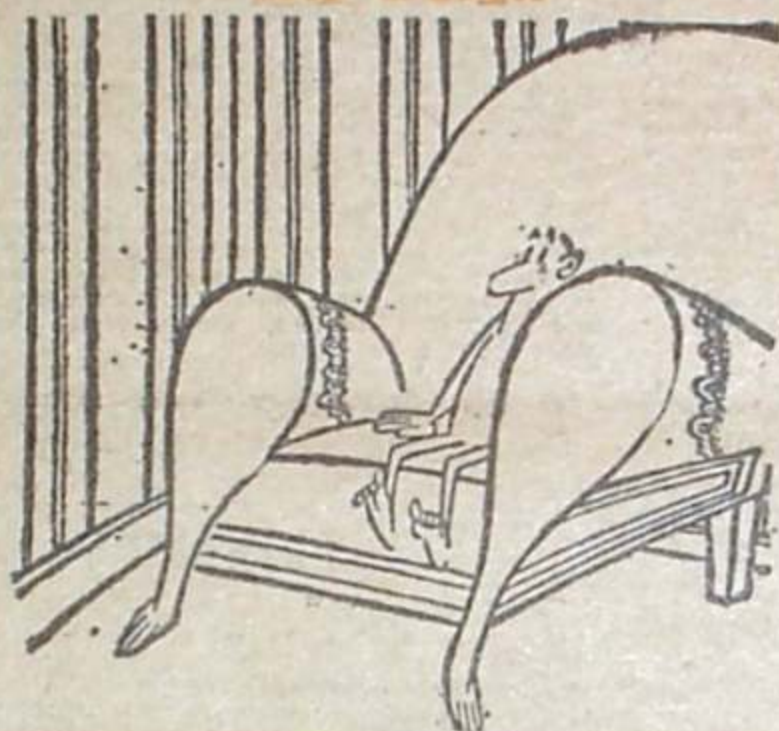
...w Indiach



...na Cyprze



...w Belgii



w Rumunii



KSIAZKI ZE STRYCHU • KSIAZKI ZE STRYCHU • KSIAZKI ZE STRYCHU • KSIAZKI ZE STRYCHU • KSIAZKI ZE STRYCHU

Z Wersalu do klasztoru

T. Straszewski

Kij ma dwa końce

Luiza, aczkolwiek dotychczas nie zamieniła z Ludwikiem jednego słowa, od dawna żywiła ciche uwielbienie dla pięknego króla.

Podobno jeszcze w czasie podróży z domu rodzinnego do Paryża ujrzała gdzieś podczas noclegu jego portret i tak się nim zachwyciła, że od tego czasu stała się jego skrytą adoratorką. Miłość ta jednak nie miała w sobie nic zdrożnego; była to niewinna, pierwsza miłość dziewczęctwa u którego nie zbudziły się jeszcze zmysły. Istotą poddanki dla wytwornego i pełnego galanterii króla, uchodzącego w jej oczach za ideał piękności i wszystkich cnót męskich.

Nigdy nie przyszło jej nawet na myśl, by król mógł na nią zwrócić uwagę w swej nieśmiałości bała się nawet, by kiedyś nie przemówił do niej. Tym bardziej więc przypuścić trudno by w głowie prowincjonalnego dziewczątka, wychowanego z dala od rezydencjonalnego dworu francuskiego, a nawet zapewne nie orientującego się jeszcze w jego zepsuciu, zaświatać mogła bodaj na chwilę myśl o pozostaniu kiedys metresa królewskiego. Ludwik zaś, który na ogół nie miał żadnej kobiecy, by okiem znawcy nie ocenił jej wdzięku, dziwnym zbiegiem okoliczności Luizy dotychczas nie zauważył. Przyczyna leżała prawdopodobnie w tym, że był zbyt zaabsorbowany swą piękną bratową, jak i w tym, że Luiza stała się w cień usuwała.

Dzień jednak przed tym, nim Henrietta wskazała królowi Luizę, jako tę, która miała służyć za parawan ich miłości, odbył się jeden z licznych na dworze balów. Po skończonej zabawie kilka młodych dam, a w ich liczbie i Luiza, wyszło do parku, by podzielić się wzajemnie doznanymi wrażeniami.

Przypadkiem król wraz z jednym ze swych dworzaków znalazł się w pobliżu i niepostrzeżony przez nie podsłuchał zwierzeń dziewczęcych. Tematem rozmowy była wspaniała — a pełna licznych urozmaiceń, jak balet, przedstawienie i tańce — zabawa, no i przede wszystkim krytyka pięt brzydkiej. Każda z dam przyznała się otwarcie, który z dżentelmenów najbardziej jej się podoba. Głosy były podzielone: jedna z pań o-

świadczyła się za markizem Alincourt, druga za panem d'Armaganac, trzecia wreszcie za hr. Guiche, tylko Luiza milczała. Dopiero zapytana o zdanie przez jedną ze swych towarzyszek, rzekła, jakby w rozmarzeniu swym stódkim głosem:

„Czyż jest to możliwe, widzieć innych, gdy znajdują się w pobliżu króla? Najpiękniejszy przecie trafi w porównaniu z nim!”

„Czy trzeba być aż królem, by ci się podobać, Luizko?” — spytała żartobliwie jedna z dam.

„O, nie — rzekła żywo Luiza — przeciwnie, w moich oczach korona raczej mogłaby przyćmić jego urok osobisty, gdyby nie był tak wielkim, takim jest!”

Słodki głos Luizy jak i szczerość uczucia w nim się ujawniająca, wzruszyły króla, przyzwyczajonego wprawdzie do uwielbień, mniej jednak cichych i bardziej skierowanych w stronę jego blasku monarszego, który w oczach innych dam dworu więcej był wart, niż jego osoba, aczkolwiek król miał piękna powierchowość i ujmujące zachowanie.

Ustyszawszy te słowa, Ludwik, nie chcąc być zaważonym, cofnął się czym prędzej i udał się do swoich apartamentów.

Długo jednak nie mógł zasnąć, myślał o słodkim zwierzeniu, którego urok podnosił niesciwy dźwięk głosu Luizy i fakt, że nawet dobrze nie wiedział jak jego właścicielka wygląda.

Jakież było zdziwienie króla, gdy nazajutrz Henrietta skierowała go sama ku Luizie i gdy, zaczawszy z nią rozmowę, poznał po głosie autorkę wczorajszej na jego cześć wygłoszonej tyrady.

„Podsłuchałem wczoraj pania, panno de La Vallière — powiedział król — i wskutek tego noc moja była bezsenna!”

Zakłopotanie i wdzięk rumieniącego się pod jego spojrzeniem dziewczęcia, a po tych słowach skapanego wprost w szkarłatnej zorzy ślicznych rumieńców, oczarowały króla do reszty.

I stała się rzecz przez Henriette nieprzewidziana. Piękna kochaneczka straciła urok w oczach króla, a zyskała go skromne dziewczętko z prowincji.

Jak dziwnie — o ironio losu — pokrzyżowały się plany Henrietty!

Król zamiast przychodzić niby do Luizy, chcąc widzieć Henriette, przychodził do Henrietty, by spotykać Luizę!

Przysłowie o kiju, który ma dwa końce, sprawdziło się na pięknej królewskiej bratowej.

„Oficjalna kochanka”

Zajęcie się tego panna La Vallière stało się trywym, gdy trafił na trudną do zdobycia twierdzę Wroczona prawoc charakteru, rzystosc serca i myśli naszej bohaterki, głęboko wpojone zasady moralne i realne były trudnym do opanowania przeszkodami.

Wyznanie miłosne króla, które wkrótce potem nastąpiło, więcej przestraszyło Luizę, niż ją uszczęśliwiło.

Przez dłuższy czas wszystkie jego miłosne listy zostawały bez odpowiedzi. Na wszystkie wyszancane spotkania nie zjawiała się.

Król, nie przyzwyczajony do tak niezwykłego oporu z początku był zdziwiony, następnie zły, a wreszcie rozpaczyony.

Upór Luizy wzmożył jeszcze namiętność króla, tak, że w końcu prawie się rozchorował.

Wreszcie pewnego razu udało mu się podstępem uzyskać u przygnębionej jego chorobą i zmęczonej walką pomiędzy uczuciem a sumieniem Luizy, upragnione „sam na sam”. Nie orwała jednak po to, by paść w ramiona uwielbianego, rzez nią i uwielbianego króla, lecz by znów odmówić mu swej miłości i na jego łale odpowiedzieć gorącymi łzami.

Pierwszy wstom był jednak zrobiony.

Od tego czasu spotkania powstawały się, a listy zaczęły kursować pomiędzy kochankami.

„Nie wiem, co odpowiedzieć temu, któremu nie mam prawa dać żadnej nadziei, którego jednak nie mogę odeschnąć, by nie zrobić tym największej przykrości mojemu sercu” — pisała w pierwszym swym liście Luiza.

(c. d. n.)